czwartek, 18 lipca 2024

NR 144 (17954)

Sport

Ukazuje się
od 1945 roku



Co się stało z Anną K.

czytaj na stronach 12 -13

Z DRUGIEJ STRONY



Paweł Czado

Milczenie jest złotem. Również w piłce

Piłka nożna ma wielką moc rażenia. Najlepsi piłkarze skupiają na sobie uwagę całego świata. Ludzie słuchają, co ich idole mają do powiedzenia, ci mniej wyrobieni często traktują ich słowa jak wyrocznię. Niestety; zdarza się, że futboliści ulegają pokusie wypowiadania się na tematy, o których nie mają pojęcia. I nie chodzi mi tu wcale o perfidne podpuchy dziennikarzy, którzy chcieliby mieć sensacyjny materiał. Po prostu – czasem coś chlapną. Tak jak chlapnął Rodri.

Po hiszpańskim triumfie podczas Euro kastylijskie, katalońskie, baskijskie czy galicyjskie miasta... wyległy na ulice. W Madrycie na jeden z placów przyszły potężne tłumy, by wspólnie z piłkarzami świętować tytuł. W pewnym momencie mikrofon wziął do ręki Rodri – piłkarz, który podczas mistrzostw w Niemczech potwierdził fenomenalny talent; będziemy mieli szczęście oglądać go zapewne przez jeszcze wiele lat.

Tymczasem w Madrycie Rodri – ni stąd, ni zowąd – zaintonował przyśpiewkę „Gibraltar jest hiszpański". Rodri to Rodri – szybko podchwycili ten zaśpiew fani i inni zawodnicy. Być może piłkarzowi chodziło o utarcie nosa finałowym przeciwnikom – formalnie Gibraltar jest przecież terytorium należącym do Wielkiej Brytanii, a w finale Hiszpanie pokonali Anglików.

Przynależność Gibraltaru do korony angielskiej boli wielu Hiszpanów, ten stan trwa zresztą ponad 300 lat. W 1704 roku admirał George Rooke zdobył gibraltarską twierdzę. Kilka lat później traktaty pokojowe uregulowały tę kwestię: Gibraltar został przekazany Wielkiej Brytanii jako wieczysta kolonia. A choć Hiszpania domagała się anulowania tych zapisów jeszcze w latach 60. XX wieku, to referendum z 1967 roku nie pozostawiło wątpliwości – ponad 99 procent mieszkańców opowiedziało się za opcją brytyjską. Ciągle jest to więc brytyjskie terytorium zamorskie.

- Przecież grasz w Anglii – zdziwił się jeszcze na scenie Alvaro Morata, Rodri to zawodnik Manchesteru City.

- Mnie to obojętne – odparł sprawca zamieszania.

Wiadomo, że to, co wydarzyło się na placu w Madrycie, w zamierzeniu miało być jedynie żartem – zapewne w intencji piłkarza „niewinnym". Jednak tylko naiwniak mógłby jednak spodziewać się, że zdarzenie nie wywoła żadnych reperkusji.

Uderz w stół, nożyce się odezwą. Oczywiście zabrzęczały! Gibraltarska federacja zdążyła już złożyć oficjalną skargę do UEFA. Zwróciła uwagę na "niezwykle prowokacyjny i obraźliwy charakter obchodów związanych ze zwycięstwem reprezentacji Hiszpanii w Euro 2024". Gibraltarski związek futbolowy podkreśla, że w piłce nie ma miejsca na takie zachowania. Tamtejszy rząd zdążył nazwać to dyskryminacją.

Rodri swoim wystąpieniem nie osiągnął niczego, nie zwrócił uwagi świata na coś nieoczywistego. A Hiszpania może tylko spodziewać się jedynie kar od piłkarskiej federacji, niczego więcej. Powtórzę; Rodri to świetny piłkarz, miałby być może dostać nawet za obecny rok „Złotą Piłkę". Czy to wystąpienie zbliżyło go do niej? Ciekaw jestem, czy w ogóle żałuje tych spontanicznych słów, które wywołały burzę. Piłka zawsze jest jednak blisko polityki, bo jest idealną soczewką. W trakcie Euro kontrowersje wzbudził choćby gest gwiazdy drużyny tureckiej, Meriha Demirala, który po zdobyciu drugiej bramki w meczu z Austrią zademonstrował tzw. wilczy salut, gest kojarzony ze skrajne prawicową organizacją terrorystyczną Szare Wilki (zaangażowane m.in. w zamach na Jana Pawła II). UEFA zawiesiła piłkarza, Turecki Związek Piłki Nożnej zaskarżył tę decyzję, a Erdogan nazwał polityczną. Tak czy inaczej – Demiral nie zagrał w ćwierćfinale z Holandią, Turcja przegrała i odpadła. Warto było?

W historii Polski jest jeden moment, w którym polityczna demonstracja na stadionie do dziś jest dobrze kojarzona. Warto go przywołać, nie został jednak wywołany przez żadnego piłkarza. Chodzi o epizod podczas meczu Polaków ze Związkiem Radzieckim rozgrywanym na mistrzostwach świata w 1982 roku. Na trybunach pojawiły się transparenty "Solidarności", co było wymierzone w komunistyczny reżim. Potraktowano to jako triumf demokratycznej opozycji.

Tak czy inaczej: futbol to futbol. Wydaje mi się, że warto zostawić piłkę piłce, a politykę – politykom.



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Piłkarze Wisły nie mają wątpliwości, że rewanż w Kosowie będzie trudnym spotkaniem.

W drodze na Bałkany

Rewanż w Kosowie w ramach kwalifikacji Ligi Europy nie będzie łatwy. Odbędzie się bez udziału publiczności. Wisła jest jednak dobrej myśli.

KF Llapi Podujevo - Wisła Kraków
Czwartek, 18 lipca, godz. 16.30

Ostatni raz w europejskich pucharach Wisła Kraków zaprezentowała się w 2012 roku. Ówcześni mistrzowie Polski walczyli o udział w Lidze Mistrzów. Dotarli jednak tylko do IV rundy kwalifikacyjnej, po drodze wygrywając dwumecze ze Skonto Ryga i Liteksem Łowecz. „Biała gwiazda" odpadła dopiero po porażce z APOEL-em Nikozja i musiała się zadowolić grą w fazie grupowej Ligi Europy. W niej drużyna prowadzona przez Kazimierza Moskala, a wcześniej przez Roberta Maaskanta, wygrała trzy mecze (z Fulhamem 1:0, Odense Boldklub 2:1 i Twente Enschede 2:1), trzykrotnie również przegrała.

To pozwoliło jej na zajęcie drugiego miejsca w grupie i na awans do 1/16 finału. W nim zespół z Krakowa dwukrotnie zremisował ze Standardem Liege, a o awansie Belgów zadecydował niedawno wycofany przepis o bramce strzelonej na wyjeździe, która liczyła się „podwójnie".

Od tych wspomnień minęło sporo czasu, ale jest szansa na to, żeby drużyna po raz kolejny mogła przeżyć ciekawą przygodę w tych samych rozgrywkach. Po zwycięstwie w Pucharze Polski Wisła rozpoczęła podróż w stronę fazy grupowej LE, wygrywając w pierwszym meczu u siebie z Llapi Podujevo 2:0. Znów, tak jak przed laty, przy linii bocznej stoi Kazimierz Moskal, który jest opiekunem zespołu.

Bez wsparcia z trybun

Pozycja krakowian w krajowych rozgrywkach nie ma przecież najmniejszego znaczenia, szczególnie gdy przychodzi im się mierzyć z zespołami z krajów znajdujących się niżej w rankingu UEFA od Polski (pozycja Kosowa – 32, Polski – 18). Ekipa z Kosowa nie powinna stanowić zagrożenia dla Wisły, udowodniła to zresztą zeszłotygodniowa rywalizacja przy Reymonta. Teraz zespół Kazimierza Moskala wybiera się na rewanż; teoretycznie może wydarzyć się wszystko, jednak przy odpowiednim poziomie koncentracji „Biała gwiazda" powinna wrócić do ojczyzny ze zwycięstwem. Mecz będzie o tyle specyficzny, że odbędzie się bez udziału publiczności. Decyzja ta jest karą nałożoną przez UEFA za zachowanie kibiców z poprzedniego sezonu, gdy w meczu z czarnogórskim Budućnost Podgorica użyli środków pirotechnicznych. To oznacza, że wiślacy nie będą mogli liczyć na wsparcie swoich fanów. - Nastawiamy się na znacznie trudniejszy mecz niż w Krakowie, nie ma co ukrywać. Tutaj gramy u siebie, znamy ten stadion, to są nasze ściany. Tutaj mamy też naszych kibiców, nasz główny czynnik motywujący. Bez tego w Kosowie będzie dwa razy ciężej – powiedział kapitan zespołu Alan Uryga.

Było trudno, będzie trudniej

Jeszcze przed pierwszym spotkaniem wiadomo było, że ekipa z Kosowa nie będzie odstawiać nóg. - Spodziewaliśmy się trudnego i bardzo fizycznego meczu. I dokładnie taki był – zauważył po zeszłotygodniowej rywalizacji Marc Carbo. Z uwagi na to, że pierwsze spotkanie zakończyło się niekorzystnym rezultatem dla rywali Wisły, rewanżowe starcie może być jeszcze brutalniejsze. Nie oznacza to jednak tego, że podopieczni Kazimierza Moskala muszą się bać swoich przeciwników. Wręcz przeciwnie – jeśli tylko będą grali tak, jak zagrali tydzień temu u siebie, mogą być pewni awansu do kolejnej rundy eliminacji.

To dopiero początek

Zawodnicy doskonale zdają sobie sprawę z tego, że rewanż będzie zupełnie innym spotkaniem. - To będzie trudny mecz, ale wejdziemy w niego z taką samą ambicją i oddaniem. Mamy zamiar kontynuować nasze marzenie - stwierdził Carbo. - Będzie ciężko, tego jestem pewny. Chcemy zagrać nawet lepiej niż tydzień temu. Na pewno nie zamierzamy odpuszczać. To dopiero początek - zaznaczył Joseph Colley. Uryga zwrócił natomiast uwagę na inne niekorzystne czynniki poza brakiem kibiców na trybunach. - Wszyscy wspominają o słynnej kosowskiej pogodzie, która nas tam przywita. Te warunki sprawy nie ułatwią. Liczymy się z tym, że ten mecz będzie wyzwaniem - stwierdził kapitan. Piłkarze jednak nie powinni na zapas szukać wytłumaczeń. Mają robotę do wykonania i rywala do pokonania.

Przedłużenie drogi

Czy więc powtórzy się scenariusz sprzed kilkunastu lat? Czy Wisłę będzie stać na to, żeby przedostać się przez fazę eliminacji i awansować do europejskich pucharów? Piękna byłaby to historia, szczególnie jeśli udałoby jej się dostać do Ligi Europy, jak przed laty. Do niej dostają się elitarne zespoły, to przecież poważne europejskie rozgrywki. Najpierw jednak trzeba wykonać pierwszy krok, udowodnić, że wygrana z Llapi u siebie nie była dziełem przypadku. Dziś Wisła znów powinna wygrać, jeśli chce marzyć o tym, żeby jej droga w Europie była jak najdłuższa.

Kacper Janoszka

Sport 23302abb6d



Fot. Kacper Janoszka

Oficjalny uścisk dłoni, potwierdzający zawarcie umowy pomiędzy firmą Superbet i GKS-em Katowice.

GieKSa ze sponsorem głównym

Nowym partnerem klubu została firma bukmacherska Superbet.

W środę GKS Katowice zaprosił przedstawicieli mediów na 30. piętro wieżowca KTW (najwyższego budynku w stolicy województwa śląskiego), żeby ogłosić nowego sponsora głównego klubu. Jak od pewnego czasu przypuszczano, nowym partnerem klubu została firma bukmacherska Superbet. Na konferencji pojawił się jej przedstawiciel Łukasz Seweryniak, prezes GKS-u Katowice Krzysztof Nowak, wiceprezydent miasta Maciej Biskupski oraz trener piłkarskiej sekcji klubu Rafał Górak. Gośćmi byli także Arkadiusz Jędrych oraz Adrian Błąd, którzy zaprezentowali się w nowych strojach z logotypem sponsora na froncie.

- GKS świętuje w tym roku jubileusz 60-lecia. Jestem szczęśliwy, że tę ważną dla całej społeczności Katowic rocznicę uświetnia kolejne historyczne wydarzenie. Po medalach hokeistów i piłkarek, wymarzonym awansie piłkarzy, teraz zawieramy rekordową umowę sponsorską – rozpoczął konferencję prasową prezes Krzysztof Nowak. Umowa pomiędzy obiema stronami będzie obowiązywać przez najbliższe trzy lata. Choć nie podano kwoty, jaką firma będzie wspierać klub, wiadomo, że co roku – niezależnie od wyników – finansowanie klubu będzie się sukcesywnie zwiększać. Ważną informacją jest także to, że Superbet wspierać będzie nie tylko męską sekcję piłkarską, ale także żeńską, hokeja na lodzie oraz siatkówki.

Dlaczego Superbet zdecydował się na wsparcie sponsoringowe GKS-u Katowice? – Bardzo skrupulatnie podchodzimy do swoich wyborów. Liczą się oddani kibice, nasza wiara i poziom sportowy. GKS spełnia wszystkie te elementy. Mamy też biuro w Katowicach. Nawet miejsce, w którym się spotykamy, pokazuje, że mamy... wysokie ambicje. Wspólnie chcemy rosnąć i przyczynić się do tego, żeby GieKSa była wielka – stwierdził Łukasz Seweryniak, General Manager Superbet Polska.

O tym, że firma na poważnie podchodzi do współpracy z klubem, świadczy pierwszy krok marketingowy wykonany przez bukmachera. Firma będzie współfinansować 1964 pierwszych kupionych sztuk nowych koszulek. Do każdej z nich Superbet dopłaca 100 złotych. Tym samym dla pierwszych 1964 kibiców, którzy zdecydują się na zakup, koszulka nie będzie kosztować 299 złotych, a 199. Jak słusznie zauważono podczas konferencji, to prawie 200 tysięcy złotych inwestycji na start.

Nie bez powodu na konferencji pojawił się także przedstawiciel katowickiego ratusza. W końcu piłkarze GKS-u czekają na otwarcie nowego stadionu, który ma być gotowy już na start rundy wiosennej sezonu 2024/25. To też przecież będzie świetnym produktem dla sponsora. Ponadto Maciej Biskupski zaznaczył, że miasto jest zainteresowane komercjalizacją nazwy stadionu. Czy w tym przypadku Superbet znów będzie zainteresowany inwestycją? W końcu Łukasz Seweryniak zaznaczył, że nie ma zamiaru kończyć współpracy z klubem przy pierwszej lepszej okazji. – Tak jak w przypadku naszych kluczowych sponsoringów, sam logotyp na stroju czy ekspozycja na bandach wokół murawy to tylko wierzchołek góry lodowej. Przede wszystkim zależy nam na zapewnianiu dobrej zabawy kibicom i wspólnym tworzeniu pięknej przyszłości. Stąd stawiamy na długoterminową współpracę i już nie możemy doczekać się otwarcia nowego stadionu, chociaż Bukową na pewno pożegnamy godnie – zapewnił przedstawiciel bukmachera.

Kacper Janoszka

TWARZE AWANSU

■ Dwaj zawodnicy, którzy pojawili się na przedstawieniu nowego sponsora, czyli Arkadiusz Jędrych oraz Adrian Błąd, oficjalnie podpisali nowe kontrakty z GKS-em Katowice. Obaj są zawodnikami z największym stażem w katowickim klubie. Błąd przy Bukowej gra od sezonu 2017/18, natomiast Jędrych dołączył do zespołu w trakcie rozgrywek 2018/19. Ich nowe umowy będą obowiązywać przez następne 2 lata, a jak sami przekonują, negocjacje nie trwały długo. - Bardzo doceniam to, że klub wyszedł z inicjatywą i od początku to była dla mnie bardzo łatwa decyzja. Czuję, że jestem częścią historii GKS-u Katowice. Wspólnie zrobiliśmy wielką rzecz, przywracając GieKSę do ekstraklasy i głęboko wierzę, że najlepsze dopiero przed nami. Cieszę się, że mogę reprezentować barwy tego klubu i dziękuję za okazane zaufanie – stwierdził Błąd. - Decyzję podjąłem bez wahania. Czuję się tu bardzo dobrze. Zrobiliśmy razem kawał dobrej roboty, a najpiękniejsze i najważniejsze chwile dopiero przed nami. GKS Katowice traktuję jak swój dom. To piękne, gdy możesz spełniać swoje marzenia, pomagać w realizacji celów klubu, a przy tym uszczęśliwiać społeczność GieKSy. Przed nami ważny czas. Musimy być gotowi na każdy mecz, świadomi swoich mocnych stron. Z optymizmem, ale dużą pokorą spoglądamy w przyszłość – wtórował mu Jędrych. W sumie zawodnicy uzbierali już 417 meczów dla GKS-u (Błąd 229, a Jędrych 188).

Jesteśmy gotowi!

GKS Katowice jest na ostatniej prostej przed startem sezonu. Piłkarze zaprezentowali się przed tłumem kibiców.



Fot. Kacper Janoszka

Tłum fanów przywitał piłkarzy GKS-u Katowice w Dolinie Trzech Stawów.

We wczorajsze popołudnie kibice GKS-u Katowice zebrali się w Dolinie Trzech Stawów, żeby zobaczyć prezentację zespołu. Impreza rozpoczęła się... honorowym przejazdem drużyny miejskimi rowerami. Po krótkiej przejażdżce piłkarze oraz sztab szkoleniowy znaleźli się na dachu baru Sztauwajery. Zanim jednak wyszli, żeby zaprezentować się kibicom, fani mogli się zapoznać z nowym kompletem strojów oraz z przedstawicielami nowego sponsora głównego klubu, firmy Superbet, której logo będzie się znajdować na froncie koszulek meczowych.

Gdy części formalne się zakończyły, przed kibicami zaczęli prezentować się członkowie sztabu szkoleniowego i medycznego oraz piłkarze. Najpierw o kilka słów skierowanych do tłumu został poproszony Rafał Górak, który przed startem sezonu jest pewny swego. – Jesteśmy gotowi – przekazał szkoleniowiec. – Chciałbym, żebyśmy 34 razy byli gotowi do grania o zwycięstwo. Chciałbym, żebyście widzieli w każdym meczu drużynę, która ze wszystkich sił będzie do tego dążyła – powiedział trener ku zadowoleniu kibiców.

Chwilę przed mikrofonem otrzymali przedstawiciele każdej z formacji. W imieniu defensorów przemawiał Bartosz Jaroszek. – Czujemy, że jesteśmy w bardzo dobrej formie. Okres przygotowawczy przepracowaliśmy należycie i jesteśmy gotowi na sobotnie spotkanie z Radomiakiem – stwierdził 30-letni zawodnik, który z GKS-em związany jest od 2020 roku. Jego słowa potwierdzili także koledzy z zespołu. Czuć było dobrą atmosferę przed startem ligi, nie tylko wśród członków drużyny, ale także w tłumie kibiców, którzy żywiołowo reagowali na to, co działo się na dachu baru.

Jednym z ważniejszych elementów prezentacji drużyny było przedstawienie nowych twarzy. Kibice mogli zobaczyć w barwach GieKSy Lukasa Klemenza, Sebastiana Milewskiego, Adama Zrelaka, Borję Galana oraz Alana Czerwińskiego. Dodatkowo, kilka chwil przed oficjalną prezentacją, klub ogłosił wypożyczenie Mateusza Kowalczyka. 20-latek ostatni rok spędził w Broendby IF, ale ligi duńskiej nie zawojował, rozgrywając tylko jeden mecz ligowy. Wcześniej, od 2021 roku do końca rundy wiosennej sezonu 2022/23, był piłkarzem ŁKS-u Łódź. W swoich ostatnich rozgrywkach w Polsce – na zapleczu ekstraklasy – zagrał w 26 meczach, zdobywając 6 bramek i zaliczając 4 asysty.

Kacper Janoszka

Sport 23302abb6d



Jak im wierzyć?

Fot. Łukasz Laskowski/Pressfocus

Raków pewnie jeszcze długo będzie rozgrywał swoje mecze przy Limanowskiego.

Częstochowski magistrat ponownie nie dotrzymał słowa i nowy stadion dla Rakowa nadal spowity jest mgłą.

Od kilku lat trwa dyskusja na temat nowego stadionu dla częstochowian. Włodarzy miasta nie przekonywały do wykonania odpowiednich ruchów ani sukcesy klubu na arenie ogólnopolskiej, ani walka w europejskich pucharach. Za to chętnie błyszczeli na tle piłkarzy, jeździli wraz z nim na dalekie wyjazdy. Na początku 2024 roku wydawało się, że w końcu coś ruszyło; że skończyło się na gadaniu. Temat jednak ucichł, bo przecież już po... wyborach samorządowych!

Nihil novi

To żadne zaskoczenie. W zasadzie każda kampania samorządowa i walka o urząd prezydenta miasta w pewnym momencie musi oprzeć się na obietnice związane z budową stadionu w mieście. Raków na początku przygody z ekstraklasą rozgrywał spotkania na wynajmowanym obiekcie w Bełchatowie. Puchary to z kolei mecze w Bielsku-Białej i Sosnowcu. Gdyby nie dobre relacje władz klubu z UEFA, to większość spotkań, które wcześniej odbywały się przy Limanowskiego w ramach europejskich rozgrywek, nie doszłoby tam do skutku.

W takiej atmosferze rozstrzygnięto walkę o prezydenturę w 2019 i 2024 roku. W obu przypadkach obiecywano budowę nowego obiektu. Robiła to większość kandydatów niezależnie od politycznych powiązań. Raków miał też swoją wizję obiektu, o której słychać było dwa lata temu. Wstępnie wybrano nawet miejsce, czyli dawne zakłady Elanexu przy ulicy Krakowskiej w sąsiedztwie stadionu Victorii. Plan był jasny - zbudować obiekt, który poza meczami przyniesie korzyści finansowe poprzez udostępnienie miejsc na sklepy, restauracje czy biura. Skończyło się na wizualizacji. Koło jednak się zamyka. Raków ma koncepcję, miasto obiecuje pomoc. I na tym się kończy, co pokazuje najnowszy przypadek.

Gdzie jest studium?

- Jeżeli mówimy o terminach, kosztach, parametrach i innych kwestiach, to poinformujemy o tym wszystkim, gdy będzie w naszych rękach wstępne studium wykonalności – powiedział kilka miesięcy temu prezydent Częstochowy Krzysztof Matyjaszczyk. O czym mowa? Miał to być, opracowany przez warszawską firmę Agraria, swoisty plan budowy stadionu. Miał zawierać analizy, pozwalające dobrać go do potrzeb miasta i klubu. Chodziło o wielkość widowni czy zainteresowania użytkowników obiektu.

Analiza miała zostać wykonana do 12 lipca. Na jej podstawie miano przygotować m.in kosztorys. Dokumentu jednak wciąż nie ma. Wedle oficjalnych informacji z urzędu miasta magistrat i wykonawca studium podpisali aneks, według którego dokument ma być gotowy do końca września. Czy tak się stanie? Nieoficjalnie słychać, że poślizg może być większy.

To pokazuje podejście urzędu do klubu, a przede wszystkim kibiców. Obietnica została złożona, ale bez konkretów. Inaczej można byłoby rozliczyć miejskie władze.

Dwie bańki za bilety?

Złość przy Limanowskiego związana ze stadionowym przeciąganiem liny jest w pełni zrozumiała. Szczególnie że pojawił się temat miejskiego wsparcia w ramach promocji przez sport. Swego czasu miasto chciało nawet je ograniczyć. Zmieniało także zasady jego przyznawania w taki sposób, aby wówczas pnąca się po szczeblach rozwoju Skra nie mogła uzyskać wsparcia. Tym razem Raków może otrzymać 2,4 mln złotych. Wedle informacji „Gazety Wyborczej" miasto oczekuje w zamian powierzchni reklamowych oraz 30 biletów na każdy mecz.

O ile pierwsze wymaganie jest normalne i zrozumiałe, o tyle oczekiwania względem biletów, gdzie i tak wielu wysoko postawionych miejskich urzędników otrzymuje miejsca wraz z klubowymi władzami, wydają się irracjonalne. Zespół z Limanowskiego pewnie na to przystanie. W końcu zdaje sobie sprawę, że musi tańczyć tak, jak zagra magistrat. Inaczej mgliste i nierealne wręcz marzenia o stadionie się nie spełnią. **(ptom)**

U BRAM WENECJI?

■ Udane Copa America w wykonaniu Johna Yeboaha spowodowało, że znalazł się on w kręgu zainteresowań innych klubów. Wedle plotek, pomocnik częstochowian miał otrzymać ofertę z występującej w Serie A Venezii. 24-latek miałby podpisać we Włoszech umowę do 2027 roku. Raków z kolei zarobiłby na tym ruchu około 3 miliony euro.

Tak długo czekali

Niedzielne spotkanie Motoru z Rakowem będzie historycznym wydarzeniem dla gospodarzy.

Gdy ostatni raz zespół z Lublina wybiegał na boiska ówczesnej pierwszej ligi, wraz z nim szczebel niżej spadały Stal Stalowa Wola i Igloopol Dębica. O utrzymanie biły się Olimpia Poznań i Hutnik Kraków. Z kolei trzy śląskie kluby: GKS Katowice, Górnik Zabrze i Ruch Chorzów walczyły o podium. Widok z dzisiejszej perspektywy wręcz szalony. Jeszcze większe zaskoczenie pojawia się w momencie, gdy zerknie się na ówczesną kadrę Motoru, w której znajdowali się Jacek Bąk czy robiący sezonową przerwę od stadionu przy Łazienkowskiej Leszek Pisz (wraz ze swoim bratem Mieczysławem).

Ewolucja to podstawa

Motor jest klubem, na tle innych beniaminków z tego i poprzednich sezonów, majętnym. Prezes Zbigniew Jakubas nie szczędził grosza, by wprowadzić zespół do ekstraklasy. Owszem, zajęło mu to odrobinę więcej czasu niż pierwotnie założył, ale cel zrealizował. W Lublinie nie zdecydowano się na rewolucję kadrową. Zaufano dotychczasowym zawodnikom. Patrząc na skład z decydującego o awansie meczu z Arką Motor opuścił jedynie Kamil Wojtkowski. Pozostali będą mieli szansę rywalizacji w elicie. Transfery wydają się przemyślane. Niektóre z nich robią duże wrażenie. Przykładem jest Krzysztof Kubica.

Ekipa z charakterem

Kibice z Zabrza zapewne pamiętają tego zawodnika, choć bardziej jego transfer do Benevento i problemy z wyegzekwowaniem pieniędzy. Mimo to "wyciągnięcie" go przez Motor z opcją wykupu to dobry sygnał, szczególnie że to młody zawodnik. – Jestem podekscytowany nowym, zbliżającym się sezonem. Śledziłem wiosenną rundę Motoru. Fajnie, że tę drużynę cechuje waleczność do ostatniej minuty. Taki styl mi odpowiada. Jestem wychowany tak, by walczyć do końca i wygrywać mecze – mówił Kubica po podpisaniu umowy z Motorem.

Innym nowym nabytkiem ekipy z Lublina jest Marek Bartosz. To słowacki stoper, który w ostatnim czasie występował w rodzimym FK Železiarne Podbrezova. - Nie wahałem się ani chwili, gdy usłyszałem o zainteresowaniu ze strony Motoru Lublin. Mam nadzieję, że dobrze wkomponuję się do tak silnego zespołu i będę w stanie mu pomóc na ekstraklasowych boiskach - mówił Bartosz.

Jak więc łatwo wywnioskować, Motor w ekstraklasie ma pokazywać nie tylko umiejętności piłkarskie, ale i boiskowy charakter, by momentami „przepychać" trudne pojedynki.

W młodości siła

Widać tu wpływy obecnego trenera Legii, Goncalo Feio, który charakteryzował się mocnym charakterem, choć nie zawsze w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Po jego rezygnacji zespół do ekstraklasy wprowadził Mateusz Stolarski. 31-latek objął drużynę w marcu. Warto tu podkreślić, że urodził się 1 stycznia 1993 roku, czyli... pół roku po ostatnim meczu lublinian na najwyższym szczeblu rozgrywkowym. Będzie to obecnie najmłodszy szkoleniowiec w ekstraklasie.

Czy to oznacza nadejście fali młodych szkoleniowców? Ledwie rok starszy od niego Adrian Siemieniec kilka tygodni temu wraz z Jagiellonią świętował mistrzostwo. Najwyraźniej nie zawsze doświadczenie decyduje o jakości trenerskiej. Na pewno jednak pomaga. Dla Stolarskiego ekstraklasa będzie pierwszym tak poważnym wyzwaniem w karierze. W dodatku na inaugurację przyjdzie mu zmierzyć się z Markiem Papszunem i jego Rakowem. Młody trener zostanie rzucony na głęboką wodę. Z drugiej strony, skoro awansował do ekstraklasy, to częstochowianie mu nie są straszni. **(pt)**

32
LATA
czekał Motor Lublin na powrót do ekstraklasy. Ostatnie spotkanie w rozgrywkach rozegrał w Sosnowcu. 21 czerwca 1992 roku pokonał innego spadkowicza, Zagłębie 2:5.



Fot. Maciej Grygierczyk/ksruch.com

Martin Turk już popisuje się efektownymi paradami.

Torman ze Słowenii

Ruch sięgnął do portfela i wykupił z Parmy Martina Turka. Chorzowianie liczą, że ta inwestycja zwróci im się w przyszłości.

RUCH CHORZÓW

Prezes Seweryn Siemianowski zapowiadał, że w kontekście bramkarza „Niebiescy" liczą na duże nazwisko. Mieli kilka tematów, ale domknęli ten, nad którym pracowali przez miesiąc. Urodzony w sierpniu 2003 roku Turk podpisał kontrakt do 2027 roku, a Ruch musiał za niego Parmie zapłacić. Świetnie zorientowany w jej realiach dziennikarz Niccolo Pasta napisał o 150 tys. euro, co przy dzisiejszym kursie daje niecałe 650 tys. złotych. Niewykluczone jednak, że kwota odstępnego wyniosła mniej. Włosi zastosowali jednak kontraktową sztuczkę, tzn. zapewnili sobie 50 procent kwoty od następnego transferu bramkarza. Jeśli Turk spełni pokładane w nim nadzieje, „Crociati" mogą na nim zarobić raz jeszcze.

Doświadczenie w Serie A

– Nieczęsto zdarza się mieć możliwość pozyskania bramkarza, który ma za sobą występy w Serie A, szczególnie w tak młodym wieku i będącego młodzieżowym reprezentantem swojego kraju – ocenił transfer dyrektor sportowy Ruchu Tomasz Foszmańczyk, mówiąc samą prawdę. Warto jeszcze dodać, że Turk był kilka razy powołany do seniorskiej kadry Słowenii, ale siedział tylko na ławce rezerwowych, m.in. 5 razy w ostatnich eliminacjach do Euro. Zna się więc z... kapitanem Górnika Zabrze Erikiem Janżą i był świadkiem dwóch z trzech jego goli w reprezentacji. W Serie A wystąpił 4 razy wiosną 2023 roku, gdy był wypożyczony do Sampdorii. Rok wcześniej – w Parmie – zagrał 10 razy w Serie B, ma też 8 spotkań w Serie C. Zeszły sezon w całości spędził na ławce „Crociatich", ostatni mecz ligowy rozgrywając w barwach „Sampy" 4 czerwca 2023 przeciwko... świętującemu mistrzostwo Włoch Napoli.

Najtrudniejszy transfer

– Martina bardzo szybko przekonała wizja klubu i to, jaki mamy na niego plan. Największe wyzwanie stanowiło porozumienie z Parmą, dlatego praca nad tym transferem trwała około miesiąca. Początkowo wydawał się mało prawdopodobny, ale z każdym tygodniem nabierał realnych kształtów i dziś cieszymy się, że go sfinalizowaliśmy. Wiążemy z Martinem bardzo duże nadzieje – dodał Foszmańczyk, a uzupełniający jego słowa na platformie X szef chorzowskiego skautingu Jakub Komander napisał o „nieoczywistej rekomendacji, najdłuższym i najtrudniejszym dotychczas procesie transferowym". – Przedstawiono mi projekt, który mi się spodobał. Poznałem historię Ruchu. Wygrał mnóstwo tytułów, to bardzo duży klub. Uznałem, że chcę tu być, chcę tu grać i dawać z siebie to, co najlepsze. Nie mam zbyt wiele czasu na aklimatyzację, ale jestem gotowy i skoncentrowany na nowych wyzwaniach. Nie mogę już doczekać się pierwszego domowego meczu – powiedział Martin Turk.

Na kogo postawi?

Z jednej strony jest to bardzo duży ruch jak na polskiego pierwszoligowca. Z drugiej – ogromny znak zapytania. Albo „Niebiescy" dokonali majstersztyku, albo zaliczą wielką wtopę. Dyspozycję Słoweńca poznamy zapewne dość szybko, bo nie jest tajemnicą, że Ruch szukał golkipera do pierwszego składu, a nie na ławkę. Nie wiadomo jednak, czy Turk dostanie szansę debiutu już w piątek w Opolu, czy może trener Janusz Niedźwiedź postawi na Jakuba Szymańskiego, pierwszy letni transfer Ruchu, który przepracował cały okres przygotowawczy.

Piotr Tubacki

GÓRNIK ZABRZE

NASTĘPCA ENNALIEGO

■ Trzyletni kontrakt z zabrzanami podpisał Taofeek Ismaheel. To nigeryjski skrzydłowy, który we wtorek świętował 24. urodziny. Do Górnika trafił formalnie ze spadkowicza z francuskiej Ligue 1, Lorient, ale w jego barwach nigdy nie wystąpił, bo przez 2,5 roku był wypożyczany. Ostatnie dwa sezony spędził w drugoligowym belgijskim SK Beveren, gdzie w 56 spotkaniach zdobył 8 bramek i 10 asyst. Przy Roosevelta Ismaheel ma zastąpić Lawrence'a Ennaliego, który formalnie jeszcze nie odszedł z klubu, ale w praktyce jest to tylko kwestia czasu. – Od początku wiedzieliśmy, że w tym oknie Lawrence Ennali najprawdopodobniej nas opuści, dlatego mieliśmy przygotowane kandydatury na jego pozycję. Negocjacje w sprawie transferu Tao rozpoczęliśmy już w czerwcu. Mimo kilku lepszych ofert, wybrał Górnik, ponieważ wie, że to dobry klub do rozwoju. Taofeek to bardzo dynamiczny skrzydłowy, dysponujący dobrym dryblingiem i grający na tym samym poziomie obiema nogami. Bardzo się cieszę, że tak jakościowy zawodnik wzmacnia naszą ofensywę – powiedział dyrektor sportowy Górnika Łukasz Milik.

(PTub)

Gotowy na Real

Na każdym kroku Kylian Mbappe pokazuje, że jest przygotowany na przygodę z „Królewskimi".

Wtorek był wyjątkowym dniem dla kibiców Realu Madryt. Po wieloletniej sadze transferowej fani w końcu doczekali się prezentacji na stadionie Santiago Bernabeu Kyliana Mbappe, który związał się z klubem pięcioletnią umową. Wielki to był dzień nie tylko dla sympatyków „Los Blancos", ale także dla samego piłkarza, o czym przypominał na każdym kroku. – To zaszczyt i przywilej być zawodnikiem Realu. Jest lepiej niż się spodziewałem! To wielkie wydarzenie dla mnie i mojej rodziny – powiedział Francuz podczas zorganizowanej konferencji prasowej i zaznaczył, że spełnił swoje marzenie z dzieciństwa. Nie ma w tym grama przesady, ponieważ w internecie można odnaleźć zdjęcie nastoletniego Mbappe w swoim pokoju, którego ściany oblepione były plakatami z piłkarzami „Królewskich".

Wyczekiwany transfer

Mbappe to kolejny wielki zawodnik w historii Realu, który dołącza do klubu w błyskach fleszy i chwale. Jest kolejnym po Luisie Figo, Davidzie Beckhamie czy Cristiano Ronaldo piłkarzem, którego charakter jest zgodny z filozofią „Galacticos". – Przychodzę z pokorą, dołączając do najlepszego klubu na świecie. Jednak mam też ambicje, bo takie są wartości Realu. Priorytetem aktualnie jest dobra adaptacja do zespołu. Chcę się zaaklimatyzować tak szybko, jak to możliwe – zapewnił Mbappe. Jego dołączenie do Realu jest zakończeniem pewnej historii, która toczy się od wielu lat. Jako 13-latek po raz pierwszy został zaproszony do Madrytu przez Zinedine'a Zidana. Francuski szkoleniowiec wypatrzył go w swojej ojczyźnie i od razu chciał w jego sercu zaszczepić Real Madryt. Od tego momentu Real czekał na niego. – Już dwa lata temu byłem bliski podpisania kontraktu, ale to już przeszłość. To już za mną, bo żyję teraźniejszością. Chcę cieszyć się każdą sekundą w Realu, bo będę opowiadał o tym moim dzieciom! – skomentował Mbappe długotrwały proces przenosin na Półwysep Iberyjski.

Zagra tam, gdzie będzie trzeba

Piłkarz na razie nie chce ustosunkowywać się do tego, na jakiej pozycji będzie występować w Realu. W końcu wchodzi do zespołu, który w poprzednim sezonie słynął ze znakomitego ofensywnego trio Vinicius-Bellingham-Rodrygo. W hiszpańskich mediach mówi się o tym, że Anglik ma wrócić na swoją nominalną pozycję, czyli do środka pola. Mbappe ma natomiast być centralną postacią w ofensywie, a nie – tak jak do tego przyzwyczaił – grać na skrzydle. – Będę grał tam, gdzie chce trener. Mogę grać na trzech pozycjach z przodu. Najważniejsze jest to, żebym był w dobrej formie fizycznej i psychicznej. To, gdzie będę grać, to szczegół. Widziałem się już z trenerem, ale nie rozmawialiśmy na ten temat – stwierdził dyplomatycznie Mbappe. Przy okazji wytłumaczył także, skąd wziął się pomysł, aby grał w Realu z numerem 9 na koszulce – w końcu w reprezentacji ma numer 10, a w PSG biegał po boisku z „siódemką". – Numer 10 należy do Luki Modricia. Czuję się zaszczycony, że będę dzielił z nim szatnię. Jest absolutną legendą, zdobył Złotą Piłkę, z Realem wygrał wszystko. Właściwie nie obchodzi mnie to, z jakim numerem będę grał. Nie ma znaczenia, czy będzie to 9 czy 48. Dla mnie ważne jest to, co przede mną, numer z tyłu koszulki mnie nie interesuje – zaznaczył 25-letni Francuz.



Fot. Matthieu Mirville/DPPI/IPA Sport 2/ipa-agency.net/SIPA USA/PressFocus

Kibice Realu od razu pokochali Mbappe, tak jak on pokochał Real.

Płynny kastylijski

Nowy nabytek Realu na starcie zaplusował u fanów, dzięki swojej znajomości języka hiszpańskiego. Swoje przemówienie na scenie zbudowanej na Santiago Bernabeu rozpoczął, używając płynnego kastylijskiego, czym wzbudził zachwyt kibiców na trybunach. – Zacząłem się uczyć w szkole. Może nie byłem najlepszym uczniem, ale z hiszpańskim zawsze sobie dawałem radę. Moim marzeniem była gra dla Realu i wiedziałem, że język jest ważny. Jest potrzebny do przystosowania się w środowisku. Miałem też trenerów Luisa Enrique i Mauricio Pochettino, którzy mówili po hiszpańsku. Gdy używam tego języka, nie boję się popełniać błędów. Wierzę, że jeśli będę je popełniać, ludzie mi o tym powiedzą, żebym mógł się poprawiać - stwierdził.

Kacper Janoszka

Sport 23302abb6d

Co się dzieje w Kołobrzegu?



Rozmowa z **Norbertem Skórzewskim**, zachodniopomorskim dziennikarzem, znawcą tamtejszego futbolu.

Kotwica Kołobrzeg kojarzy się w ostatnim czasie z dwiema rzeczami. Pierwsza – duże inwestycje w skład, wzmacniany solidnymi transferami. Druga – notoryczne problemy z płaceniem w terminie. O co w tym chodzi?

– Problem wypłacalności zaczął się jeszcze w czasach III ligi. Raz piłkarze mieli wypłaty, raz nie mieli. Zdarzało się, że pieniądze dostawali tylko ci, którzy wychodzili w pierwszym składzie, więc zawodnicy już dzień przed spotkaniem po rozmowach w szatni wiedzieli, kto będzie grał. W II lidze było podobnie, aż do momentu awansu. Teraz mamy taką sytuację, że prezes zalega piłkarzom z wypłatami, a... zalegał też już wcześniej. W tym roku powtarza się to regularnie, podobnie jak powtarzają się kłopoty z wypłacaniem premii. Teraz to pół miliona złotych za awans do I ligi, a bliźniacza sytuacja miała miejsce po awansie do II ligi (w 2022 roku - red.), gdzie dobrowolnie nie wypłacono premii nikomu. Większość tych zawodników odeszła, a obecnie z tamtej kadry w Kotwicy pozostaje jeden piłkarz. Prawdę powiedziawszy nie wiem, czy mu tę premię wypłacono, ale jeszcze niedawno na pewno jej nie miał. Trzeba było iść do sądu i przedstawić papiery. Ci, którzy to zrobili, dostali premię, a ci, którzy takich zapisów nie mieli, nie dostali. Dlatego nie dziwię się, że obecnie piłkarze znowu nie dostali premii.



Fot. Radosław Drozdżewski

Jak mówi nasz rozmówca, Kotwica to klub zarządzany „w stylu z lat słusznie minionych".

Pierwszy tekst o finansowych obsuwach w Kotwicy napisałeś w styczniu 2020 roku i sytuacja nadal trwa, mimo że klub wywalczył dwa awanse. To jak to jest? Kotwica ma pieniądze, czy ich nie ma?

– Generalnie pieniądze są. Kotwica zawsze była finansowym potentatem jak na swój poziom rozgrywkowy, bo dostawała milion złotych z miasta. Dodatkowo prezes Adam Dzik jest człowiekiem dość bogatym, prowadzącym dużą firmę budowlaną. Tylko w ostatnim roku włożył do Kotwicy ok. 5 milionów złotych prywatnych pieniędzy. Moja teoria jest taka, że on chciałby zarządzać klubem tak, jak zarządza swoją firmą, a nie zawsze da się to przenieść na piłkarzy.

Co to znaczy?

– Zarządzanie twardą ręką, może trochę mobbingu. Niepłacenie w sytuacji, kiedy wydaje mu się, że piłkarze nie spełniają jego oczekiwań. Tak to się kręci od lat, ale zawodnicy nauczyli się, że nigdzie na papierze nie dostaną w II czy III lidze tyle, ile w Kotwicy. A po drugie, niektórzy byli gotowi przemęczyć się, a potem złożyć wniosek do sądu i koniec końców – ze względu na proces licencyjny – te pieniądze otrzymać. Jeżeli ktoś ma poduszkę finansową i jest w stanie to wytrzymać, to w niektórych przypadkach mogło to być dla piłkarza korzystne. Myślę, że czara goryczy przelała się przy pozyskanych rok temu Jakubie Rzeźniczaku i Jakubie Żubrowskim.

Było o tym dość głośno. Możesz przybliżyć tę sytuację?

– Na boisku grali... normalnie. Starali się, robili, co mogą, ale wiadomo było, że wiek już ich nieco ograniczał i nie „zjedzą" II ligi. Ściągając ich zaproponowano im duże kwoty, jak z kosmosu. Nie grali tak, jak oczekiwano, ale też nikt władzom klubu nie przystawiał do głowy pistoletu, że mają zaoferować tym zawodnikom tyle pieniędzy. Po rundzie jesiennej klub jednostronnie rozwiązał z nimi kontrakty. Rzeźniczak i Żubrowski są teraz w sporze sądowym z Kotwicą i koniec końców dostaną te pieniądze. Zespół gra w coraz wyższych ligach, a piłkarze ze sobą rozmawiają. W I lidze klub nie jest już w stanie wypracować takiej przewagi finansowej nad innymi ekipami, jak było to w niższych ligach. To już nie jest miejsce, gdzie piłkarze chcą przychodzić tak, jak do II czy III ligi, gdy Kotwica płaciła najlepszym po 10 tysięcy złotych. Wszyscy wiedzą, co się teraz dzieje w klubie i mało który doświadczony gracz chce przyjść do Kołobrzegu. Robi się błędne koło.

Puenta tych historii jest taka, że... finalnie pieniądze zawsze są wypłacane, tylko trzeba się o nie naszarpać.

– Jeżeli masz podpisany kontrakt, to wiadomo, że sąd musi to rozpatrzyć jednostronnie. Trzeba przyznać, że kiedy Kotwica przegrywa spory sądowe, to płaci dość szybko wszystko, co musi. Nie ma też wyjścia, bo w tle jest przecież proces licencyjny.

Czyli jest kasa, ale opóźnia się płacenie o ile się da.

– Tak, ale przy obecnych kwotach, jakie płaci się zawodnikom, pieniądze też są ograniczone. To już nie III czy II liga, w I lidze są kluby z mocniejszymi finansami. Z jednej strony trzeba oddać prezesowi Dzikowi, że wkłada w klub dużo prywatnych pieniędzy, ale z drugiej – jest to zarządzanie w stylu z lat słusznie minionych. W III lidze zdarzyło się tak, że jeden piłkarz usiadł na ławce i nie dostawał pensji. Miał w drodze dziecko, a prezes powiedział mu, że z tego powodu zrobi wszystko, aby nie dostawał wypłat. Potrafi być człowiekiem dość... skomplikowanym. Jeśli spytasz mnie, jaki jest sens opóźniania wypłat i czekania na reakcję PZPN-u – to ja też tu nie widzę sensu. Tym bardziej że to nie pomaga długofalowo. Na debiut w I lidze Kotwica wyjdzie jedenastką, którą grała w II lidze. Przyszło kilku Brazylijczyków, ale w kwestii transferów krajowych – nie licząc młodych czy nowego bramkarza – nie ma tego, co było wcześniej.

Kotwica jest klubem miejskim w stu procentach?

– Tak, a jej prezesem jest Adam Dzik, który ma obecnie dość skomplikowane relacje z miastem. Władze Kołobrzegu nie mogą jednak odciąć się od Kotwicy, która – jakkolwiek patrzeć – osiąga sukcesy, a ma to znaczenie wizerunkowe. Teoretycznie właścicielem jest miasto, ale najwięcej pieniędzy przeznacza na klub Dzik.

Dlatego chciałem o to dopytać. W teorii miasto ma sto procent, a w praktyce ile tych procent należy do prezesa Dzika?

– W praktyce władza jest jednoosobowa. Podczas letniej przerwy media klubowe musiały pytać się prezesa, czy mogą w ogóle coś wrzucić w media społecznościowe. On do końca nie rozumie, że warto by było „ograć" ten awans. Wszyscy pracownicy mają do niego dystans, który wziął się z jego podejścia. To nie jest respekt wypracowany poprzez bycie osobą znającą się na piłce, która coś osiągnęła.

Nie dostało ci się od Adama Dzika za podawanie tylu niewygodnych informacji na temat Kotwicy?

– Nigdy wielkich problemów nie robił, nie zwracał się do mnie personalnie. Zdarzało się, że dyrektorzy sportowi nie przyznawali mi akredytacji, ale robili to bardziej, żeby się podlizać, a potem... prezes i tak ich zwalniał za jakieś błahe sprawy. Dzik oczywiście czytał te artykuły, które w niego uderzały, bo w mieście zaczynały się różne audyty i tak dalej. Jednak ogólnie jest to osoba, która nie śledzi mediów i większością rzeczy się nie przejmuje. Docierają do niego tylko te największe artykuły.

Czego można się spodziewać po Kotwicy w kolejnych tygodniach? Jak wspomniałeś, w I lidze pewne rzeczy już nie będą mogły przechodzić.

– Niepokojące jest to, że w klubie nie ma żadnych struktur. Nie wiem, czy I liga coś takiego wybaczy. Widziałem różne spekulacje i typy, że Kotwica ma być pierwszym zespołem „nad kreską". Przed sezonem wydawało mi się, że będzie dużo wzmocnień. Rok temu było to 15 czy 16 transferów, włącznie z doświadczonymi ligowcami. Teraz tego nie ma – z wiadomych powodów. Myślę, że będzie ciężko. Ta drużyna, która wyjdzie na mecz w 1. kolejce, wygrała tylko 5 z 14 meczów w rundzie wiosennej, która była już bardzo mocno „przepchana". A przeskok między II a I ligą jest duży. Wydaje mi się, że to zawodnicy, którzy są w stanie się utrzymać i być lepszymi od trzech innych drużyn. Oczywiście jeśli wszystkie pensje będą wypłacane na czas. Piłkarze wydali ostatnio oświadczenie, że prezes zalega z wypłatami... wszystkim. To tylko pokazuje, jaka sytuacja panuje obecnie w Kotwicy.

Rozmawiał Piotr Tubacki

Sport 23302abb6d

Młodzi rządzą!

Młodzież opanowuje Europę. I doskonale był to widać na minionym Euro.

Na boiskach w Niemczech zobaczyliśmy mnóstwo młodych piłkarzy, którzy umiejętnościami zachwycali kibiców. Potrafili stworzyć różnicę, byli czołowymi postaciami w swoich zespołach. Nowa generacja nadciąga, ale czy kogokolwiek to powinno dziwić?

Pierwszym, który zasłużył na pochwały, jest Hiszpan Lamine Yamal. Rozpoczynał Euro jako 16-latek. Został najmłodszym piłkarzem w historii mistrzostw Europy bijąc rekord Kacpra Kozłowskiego. Dopiero dzień przed finałem świętował 17. urodziny. Osiągnięcia? Był czołowym graczem kadry Luisa de la Fuente. Yamal w sukcesie nie pełnił tylko funkcji reprezentatywnej. Tworzył na boisku sztukę, która zaowocowała genialnym trafieniem w półfinałowym starciu z Francją. Nastolatek podbił serca fanów całego świata, choć - będąc szczerym – zapowiadało się, że będzie gwiazdą Euro.

Otoczony opieką

W końcu nie bez powodu zyskał zaufanie Xaviego w Barcelonie. Nie bez powodu rozegrał świetny sezon w barwach „Blaugrany". Nie bez powodu też okrzyknięto go nowym Messim. Porównania do legendy „Dumy Katalonii" raczej mu nie pomagają, ale nastolatek potrafi udźwignąć presję. Nagroda za najlepszego młodego piłkarza ME nie jest przypadkiem i chęcią podbudowania gracza. W pełni na nią zasłużył, podobnie jak na wszystkie pochwały płynące od bardziej doświadczonych ludzi świata futbolu. – Jego występ na Euro był spektakularny, jeden z najlepszych w ostatnich latach. To wielka zasługa byłego trenera Barcelony Xaviego, który dał mu możliwość gry w tak młodym wieku, a także Luisa de la Fuente, który otworzył mu drzwi do reprezentacji. Najważniejsze dla niego jest to, że jest otoczony opieką. Wszystko wskazuje na to, że jest genialnym dzieciakiem. Jest niesamowitym, wschodzącym zawodnikiem, który przynosi Hiszpanii dumę – powiedział selekcjoner reprezentacji Argentyny Lionel Scaloni w rozmowie z hiszpańskim dziennikiem „Marca". – Robi rzeczy, które powinny być nielegalne – opisał grę Yamala Rio Ferdinand, legenda angielskiego futbolu.

Jak młody Ronaldo

Na pochlebne słowa zasłużył nie tylko Yamal, ale także jego dobry kolega z reprezentacji Nico Williams. Co prawda nie jest już nastolatkiem (12 lipca ukończył 22 lata), ale to wciąż wschodząca gwiazda hiszpańskiej piłki. Usługami urodzonego w Pampelunie skrzydłowego zainteresowała się nawet Barcelona, więc całkiem prawdopodobne, że niedługo razem z Yamalem i Robertem Lewnadowskim będą tworzyć ofensywne trio nie do pokonania. Williams na Euro także błyszczał. Zdobył gola w finale z Anglią (po asyście Yamala), a jego rajdy lewym skrzydłem przyprawiały defensorów o zawroty głowy. – Dla mnie Williams jest wyjątkowy. Przypomina mi Cristiano Ronaldo, gdy był młody. Jest wielkim facetem. Gdy dostaje piłkę stara się, czasem za bardzo, ale zazwyczaj podejmuje właściwe decyzje. Jest niewiarygodnym zagrożeniem w sytuacjach jeden na jeden – napisał przed finałowym meczem Hiszpania – Anglia Wayne Rooney na łamach „The Times". Jego słowa miały być przestrogą dla „Synów Albionu", którzy i tak nie potrafili go zatrzymać.

Królewski diament

Kolejnym graczem, który zaprezentował się światu na mistrzostwach Europy, był 19-letni Arda Gueler. Turek nie dotarł do finału mistrzostw jak Williams i Yamal, ale mimo to zdążył się zaprezentować ze świetnej strony. Już w pierwszym meczu przeciwko Gruzji udowodnił, że nie jest pierwszym lepszym graczem. Jego uderzenie z dystansu w samo okienko bramki Giorgiego Mamardaszwiliego było cudowne. Z całą pewnością było to jedno z piękniejszych trafień w turnieju (oficjalną nagrodę za najładniejszego gola na niemieckich boiskach zgarnął Yamal). Gueler był cały czas zagrożeniem dla przeciwników. Jest szybki, zwinny, a z piłką potrafi wyczyniać cuda. Udowadniał to jeszcze gdy był piłkarzem Fenerbahce. Za swoje dobre występy w ojczyźnie zasłużył na transfer do wielkiego Realu Madryt w lipcu zeszłego roku. W barwach „Królewskich" długo nie mógł się przebić, początkowo dręczyły go też kontuzje. Gdy trener Carlo Ancelotti w końcu mu zaufał, nie zawiódł się. Pod koniec sezonu w La Liga strzelał co chwilę i zakończył rozgrywki z sześcioma golami w zaledwie dziesięciu meczach. To wystarczyło do powołania na Euro, a selekcjoner reprezentacji Turcji Vincenzo Montella mógł być z niego zadowolony. – Ze względu na młody wiek brakuje mu jeszcze trochę fizyczności, ale muszę mu pogratulować. Jestem z niego dumny – powiedział opiekun kadry po meczu 1/8 finału, w którym Turcy pokonali Austrię.


Fot. Xiao Yijiu / Xinhua / PressFocus

Lamine Yamal podbił serca fanów na całym świecie.


Fot. David Cairy/Sportpix/Content Curation/SIPA USA/PressFocus

Bez wątpienia największą gwiazdą niemieckiej kadry był Jamal Musiala.

Kiedyś będzie liderem

„Los Blancos" mogą się jednak pochwalić nie tylko Ardą Guelerem, ale także Jude'm Bellinghamem. Anglik ma już ugruntowaną pozycję na rynku, przewidywany jest do wygrania najbliższego plebiscytu "Złotej Piłki". Drużyna Garetha Southgate'a co prawda nie była tak dobra, jak można było przypuszczać, w wielu spotkaniach „przepychała" wygrane, ale ostatecznie dotarła do finału. Anglicy byli krytykowani, podobnie zresztą jak Bellingham. Rzeczywiście, 20-latek grał poniżej oczekiwań, jednak należy sobie zadać pytanie, czy poprzeczka nie była ustawiona dla niego za wysoko. Oczekiwano, że zostanie liderem kadry, że będzie jej najważniejszą postacią. Zapomniano jednak, że to piłkarz, który wciąż jest na początku swojej kariery i może nie być gotowy na liderowanie reprezentacji. Mimo wszystko zdobył dwie bramki na mistrzostwach i do swojego dorobku dołożył także asystę w finale z Hiszpanami. Z całą pewnością nie powinien zostać obarczony winą za to, że Anglia zdobyła tylko srebro. O tym, jak bardzo się rozwinął, świadczy fakt, że 3 lata temu na Euro odgrywał jedynie marginalną rolę w reprezentacji Southgate'a. – Jego postępy są niesamowite. Kiedy przyszedł do kadry po raz pierwszy, można było zobaczyć jego mentalność i talent. Pozostał jednak pokorny w swoim rozwoju. Presja pomaga mu się rozwijać – zauważył inny z kadrowiczów Luke Shaw.

Goli mogło być więcej

W naszych wyliczeniach świetnych młodych piłkarzy nie może oczywiście zabraknąć Jamala Musiali. 21-latek swoją rozpoznawalnością na rynku dorównuje Bellinghamowi, grając na co dzień w Bayernie Monachium. Dla niego turniej w ojczyźnie był pierwszym Euro, w którym pełnił sporą rolę w reprezentacji. W 2021 roku zaliczył tylko 9 minut na mistrzostwach. Tym razem był graczem pierwszego składu, a w dodatku najlepszym Niemcem na turnieju. Zapewne, gdyby drabinka turnieju została ułożona nieco inaczej i „Die Mannschaft" nie trafiliby w ćwierćfinale na Hiszpanię, Musiala razem z reprezentacją dotarłby do finału. Miałby wtedy też okazję do poprawienia dorobku bramkowego i zostania samodzielnym liderem klasyfikacji strzelców. Licznik goli zatrzymał się na liczbie trzy (dwie bramki strzelił w fazie grupowej, jedną w 1/8 finału przeciwko Danii). Musiala udowodnił, że przed nim jeszcze wiele lat gry na najwyższym światowym poziomie.

Kacper Janoszka

Sport 23302abb6d

Kadrowa rewolucja w Zagłębiu



Fot. Mateusz Sobczak / PressFocus

W niedzielnym meczu z Olimpią Grudziądz kibice w Sosnowcu zobaczą całkiem nowe Zagłębie.

Grzegorz Kurdziel jest jednym z autorów zupełnie nowego Zagłębia.

Rewolucja. To słowo najdobitniej oddaje to, co w ostatnich tygodniach miało miejsce w klubie z Sosnowca. Z Zagłębiem pożegnało się w sumie 18 piłkarzy. W ich miejsce pozyskano 12 nowych graczy, ponadto do kadry pierwszego zespołu włączono grupę piłkarzy z rezerw i akademii, kilku zawodników wróciło z wypożyczeń.

Zespół został zbudowany na nowo

Z kadry, która grała w poprzednim sezonie ostało się zaledwie kilku zawodników. Najprawdopodobniej w wyjściowej jedenastce znajdzie się tylko dwóch piłkarzy, którzy grali od pierwszej minuty w ostatnim meczu poprzedniego sezonu. – Jesteśmy świadkami kadrowej rewolucji w Zagłębiu, ale ona była nieunikniona po tym co wydarzyło się w poprzednim sezonie. Zespół został zbudowany na nowo. Są w nim oczywiście piłkarze, którzy grali do tej pory w Sosnowcu, a wszystko to zostało poparte wnikliwą analizą - tłumaczy Grzegorz Kurdziel, dyrektor sportowy Zagłębia.

To właśnie były bramkarz sosnowiczan wraz z Markiem Saganowskim i całym sztabem szkoleniowym wykonał tytaniczną prace, aby w jak najkrótszym czasie zbudować zespół, który w nadchodzącym sezonie postara się wprowadzić klub z Sosnowca na właściwe tory. – Staraliśmy się zadziałać tak, aby trenerzy mieli jak najwięcej czasu na zgranie zespołu. W sumie trener miał niemal całą kadrę, którą będzie dysponował w tym sezonie w dość krótkim czasie, w tym podczas tygodniowego obozu w Austrii - podkreśla dyrektor sosnowieckiego klubu.

Budując nowy zespół dyrektor wraz ze sztabem kierował się konkretnymi zasadami. - Mamy zupełnie nową drużynę i traktujemy ten sezon jako zadanie. Wprowadziliśmy w klubie szereg zasad, dotyczących podpisywania kontraktów czy kultury pracy. Budowaliśmy zespół charakterologicznie i ważne było dla nas know-how zawodników, którzy wiedzą co to sukces i wiedzą jak przetrwać każde momenty – przyznaje Kurdziel.

Kadra liczy 26 zawodników

W Sosnowcu odmłodzono zespół, teraz jego średnia wieku to nieco ponad 24 lata, ale jednocześnie postawiono na piłkarzy sprawdzonych w bojach, takich którzy mają na koncie po kilka awansów na wyższe szczeble rozgrywkowe. - Znają więc cały proces, pewien mechanizm jak to wszystko musi zadziałać, aby odnieść sukces. Grzesiek Janiszewski czy Piotr Marciniec brali udział w takich projektach po kilka razy, z kolei Andrzej Niewulis ma na koncie awanse, a zarazem walkę o najwyższe tytuły, z mistrzostwem Polski włącznie. Liczymy na połączenie młodości z rutyną i doświadczeniem. Widać, że zawodnicy złapali wspólny język. Młodsi na pewno mają się od kogo uczyć i nie chodzi tutaj tylko i wyłącznie od sprawy czysto sportowe. Sporo dobrego zrobił wspólny wyjazd do Austrii. Piłkarze byli ze sobą przez kilka dni od rana do wieczora, można było wiele rzeczy na spokojnie przegadać – dodaje dyrektor Zagłębia.

Kadra Zagłębia na dziś liczy 26 zawodników. W tym gronie znajdują się także Oleksij Bykow oraz Antoni Kulawiak, którzy przechodzą rehabilitację po odniesionych kontuzjach i w najbliższym czasie nie będą jeszcze brani pod uwagę przy ustaleniu składu.

Ostatnim zawodnikiem, z którym klub z Sosnowca podpisał umowę był Mateusz Kabała. 18-letni bramkarz w minionym sezonie występował w IV-ligowych rezerwach Zagłębia. Treningi z pierwszą drużyną rozpoczął latem i zagrał w czterech grach kontrolnych. W Akademii Zagłębia Kabała występował od siedmiu lat. Trafił do niej z RKS-u Grodziec. Teraz golkiper, który z Zagłębiem podpisał 3-letnią umowę powalczy o miejsce między słupkami z Kacprem Siutą i Mateuszem Kosem. – Młodzież z Akademii i rezerw to zdecydowanie najwięksi wygrani okresu przygotowawczego. Mamy w każde ośmiu młodzieżowców, którzy pokazali się z bardzo dobrej strony tak w treningu jak i w sparingach. Teraz będą mieli okazję sprzedać się na ligowych boiskach – mówi Kurdziel.

Krzysztof Polaczkiewicz

INNE ZAGŁĘBIE

■ Zagłębie (maj 2024) Kos – Polarus, Caliński, Matynia – Sukhotskyi, Lipka, Janota, Bonecki, Troć – Valencia - Biliński

■ Zagłębie (lipiec 2024) Siuta - Kurtović, Niewulis, Janiszewski - Sukhotskyi, Marciniec, Mularczyk, Zawojski, Boruń - Biliński - Agbor

Nikt już nie dorabia

- Skład na Chojniczankę jest już prawie wykrystalizowany - mówi trener Dariusz Klacza. W zespole Rekordu Bielsko-Biała piłkarze nie muszą już dorabiać po treningach.

Data 19 lipca 2024 roku zapisze się w annałach klubu z Cygańskiego Lasu. Tego dnia Rekord po raz pierwszy w swojej 30-letniej historii zagra na szczeblu centralnym! Beniaminek debiutować będzie na wyjeździe meczem z Chojniczanką Chojnice. - Przygotowania do sezonu przebiegły zgodnie z planem - przyznaje trener Dariusz Klacza.

- Zawodnicy bardzo ciężko przepracowali okres przygotowawczy w którym rozegrali zaplanowaną liczbę minut w sparingach. Celem naszej pracy było poprawienie poszczególnych faz gry i wprowadzenie do zespołu nowych zawodników. Na dzisiaj mogę powiedzieć, że cele zostały wdrożone w stu procentach - zapewnia szkoleniowiec, który skład na Chojniczankę ma już prawie wykrystalizowany. - Zastanawiamy się jeszcze nad dwoma ustawieniami osobowymi, ale to jest kosmetyka. Kluczem do selekcji było to, aby skład wykrystalizować jak najpóźniej. Zawodnicy dalej walczą i głęboko wierzą, że to akurat oni będą mogli zagrać w Chojnicach. To podnosi poziom rywalizacji i poziom treningu.

Przemyślana strategia

O jaki cele walczyć będzie Rekord w debiutanckim sezonie w II lidze? - Największą siłą mojego zespołu jest to, że jest w procesie budowy od dłuższego czasu. Zawodnicy wiedzą jakie mamy fazy, z jakiego ataku strzelamy największą liczby bramek, w jakiej obronie jesteśmy skuteczniejsi lub jaki scenariusz możemy wymyślić na danego przeciwnika. Mała liczba transferów nie była spowodowana złą sytuacją finansową klubu tylko dokładnie przemyślana strategią. Strategią, w której nie chcieliśmy zerwać nici procesu w jakim pozostajemy razem od roku. Rekord będzie intensywny, Rekord będzie konkretny w poszczególnych fazach gry, Rekord będzie stanowił jedność na boisku oraz poza nim. Wierzymy głęboko w to, że da nam to coś więcej niż tylko utrzymanie - mówi trener Klacza, który także debiutować będzie na szczeblu centralnym. - Moim zadaniem i zadaniem mojego sztabu jest jak najlepiej przygotować zespół do każdego spotkania. Jeśli tak będzie to poziom rozgrywek schodzi na dalszy plan - dodaje 37-latek.

4 mln zł budżetu

Historyczny sukces sprawił, że głębiej do kieszeni sięgnąć musiały władze klubu. Już wcześniej niezbędne prace inwestycyjne poczyniono w Cygańskim Lesie, by kameralny obiekt spełnił wymagania licencyjne stawiane przez PZPN i za kwotę ok. 3 mln zł wybudowana została nowa trybuna z sektorem dla gości. Podwyżki otrzymali także piłkarze. - Prezes Janusz Szymura zapewnił zespołowi takie warunki do pracy, że nikt nie musi szukać dodatkowych zarobków w czasie wolnym. W pełni profesjonalnie skupiamy się w stu procentach na treningach oraz meczach - przyznaje kapitan drużyny Konrad Kareta. Dla środkowego obrońcy będzie to już siódmy sezon spędzony w biało-zielonych barwach. Jak sam przyznaje, historyczny awans na szczebel centralny nie wpłynął radykalnie na sposób przygotowań do nowego sezonu, w trakcie których drużyna m.in. przez kilka dni była skoszarowana na obiektach w Cygańskim Lesie.

Jadą po wygraną

- Małą różnicą było to, że mieliśmy krótsze urlopy. Po to żeby móc w ciągu czterech tygodni przygotować się do nowego sezonu. Letnie przygotowania są krótkie, ale wykorzystaliśmy odpowiednio ten czas, by solidnie przygotować się fizycznie i taktycznie, a nowi zawodnicy mogli poznać sposób w jaki gramy - wyjaśnia Konrad Kareta. Z jakim nastawieniem beniaminek przystępuje do II-ligowych rozgrywek? - Celem minimum będzie utrzymanie w lidze. Chcemy, by Rekord w każdym meczu grał odważnie, pewny swoich umiejętności i potencjału, który z pewnością jest w naszym zespole. Jesteśmy zgraną ekipą, atmosfera w zespole to nasz duży atut, który przekłada się na dyspozycję prezentowaną na boisku. Był to ważny czynnik, który przyczynił się do wywalczonego awansu. Dlaczego nie mielibyśmy zostać „czarnym koniem" rozgrywek? Z optymizmem patrzymy na nasz debiut w II lidze i wierzę, że Rekord dostarczy sporo pozytywnych emocji. Jesteśmy gotowi na pierwszy mecz i do Chojnic jedziemy po trzy punkty - dodaje.

gru



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Trener Dariusz Klacza.

Sport 23302abb6d

Sołtys i kosiarka z FIFA

Stanisław Słowik wypłynął na... „szerokie murawy" dzięki zainteresowaniu budową wiejskiego boiska.

Co łączy sołtysa leżącej w powiecie bielskim Ligoty ze światową federacją piłkarską? Odpowiedź można zawrzeć w jednym słowie: trawa! A konkretniej - murawa, którą na boisku, na którym gra A-klasowa drużyna, wyhodował Stanisław Słowik.



Fot Dorota Dusik

Z okazji 70-lecia klubu z Ligoty Stanisław Słowik dostał złotą odznakę honorową Śląskiego Związku Piłki Nożnej.

Nawodnienie gratis

- Od urodzenia mieszkam w Ligocie, ale choć zawsze lubiłem sport nigdy nie byłem piłkarzem naszej drużyny – przyznaje Stanisław Słowik. - W młodości uprawiałem lekką atletykę w AZS-ie AWF Katowice. Biegałem średnie dystanse i nawet mogę się pochwalić brązowym medalem akademickich mistrzostw Polski. Dopiero 17 lat temu, kiedy po przejściu na emeryturę zostałem sołtysem, wielu ludzi zwracało mi uwagę, że trzeba reaktywować klub, w którym była tylko jedna drużyna juniorów. Tak się zaczęła moja przygoda z piłką nożną. Zostałem wiceprezesem i pomogłem skompletować sztab szkoleniowy oraz zorganizować zespół seniorów, który zaczął grać w klasie B - opowiada.

Od 2020 roku drużyna występuje w klasie A, Słowik jest w klubie przewodniczącym komisji rewizyjnej. - Jednak dla mnie najważniejszą funkcją jest "opiekun murawy". Za nią czuję się szczególnie odpowiedzialny - przyznaje.

Wszystko zaczęło się jeszcze na starym boisku, na którym – oczywiście społecznie – kosił trawę. - Dziś mogę powiedzieć, że to było jedynie prymitywne utrzymanie boiska, które było wtedy uznawane za najgorsze w okolicy. Jako sołtys uparłem się, że muszę coś z tym zrobić! - wspomina z uśmiechem. Postarał się więc o pozyskanie terenu, udało się zdobyć 5,5 hektara od Agencji Nieruchomości Rolnej, pierwszą inwestycją według projektu, który powstał z pieniędzy sołectwa, było zbudowanie boiska.

Słowik: - W trakcie tych prac zaprzyjaźniłem się z jednym z najlepszych fachowców w Polsce od tego rodzaju prac. Wcześniej wykonywał płyty dla Lecha Poznań i Śląska Wrocław, a nawet dla Bayeru Leverkusen. Na „dzień dobry" spodobało mi się, że zaczynając pracę w Ligocie, zaprosił projektanta i kazał mu przeprojektować pierwotne plany, dając własne wytyczne według najlepszych norm. Ale uwaga: niestety nie wszyscy nadzorują te prace i później okazuje się, że murawy są kiepskie, co widać nawet u nas w ekstraklasie.

W Ligocie wykonawca po oddaniu płyty do użytku, widząc zaangażowanie sołtysa, zaproponował mu, żeby... przez rok zajął się murawą osobiście! W zamian za to, choć nawodnienia nie było w projekcie, gratisowo dołożył wykonanie profesjonalnego nawodnienia. - Zostałem przeszkolony, uczestniczyłem w konferencji greenkepeerów, na której pogłębiłem swoją wiedzę i zdobyłem kontakty z najlepszymi specjalistami od utrzymania boisk w naszym kraju. Tak to się zaczęło - wspomina Słowik

Słynne w całym kraju

Po pewnym czasie boisko w Ligocie zaczęło słynąć w okolicy z najlepszej murawy. W chwili gdy zostało zakwalifikowane jako obiekt treningowy mistrzostw świata U-20 w 2019 roku, stało się słynne w całym kraju, a nawet poza granicami.

- To właśnie w związku z tymi mistrzostwami, jeszcze na półtora roku przed ich otwarciem, Alan Ferguson jako przedstawiciel FIFA, w której jest głównym specjalistą od boisk, przyjechał do nas na kontrolę – dodaje Stanisław Słowik. - Zobaczył i... spodobało się. Podpowiedział co jeszcze należy poprawić i stwierdził, że potrzebujemy... specjalistycznej kosiarki. Po to żebyśmy mogli osiągnąć najwyższy poziom. Zakupiliśmy ją z pieniędzy, które zostały przekazane na zakup sprzętu potrzebnego na mistrzostwa świata - opowiada.

Główny specjalista FIFA od stadionów przygotowywanych na najważniejsze imprezy światowe, uruchomił własne kontakty. Dzięki temu z dziesięciu kosiarek, które zostały zakupione przez Polski Związek Piłki Nożnej na mistrzostwa, ta najlepsza, czyli Dennis Premier - profesjonalna kosiarka z napędem dieslowskim, trafiła do Ligoty. - Od dostawcy usłyszeliśmy: „Alan Ferguson, kazał ją przywieźć do was". Chciał w ten sposób pokazać, że w małej miejscowości można czasem więcej niż w dużych - wspomina z uśmiechem sołtys.

Transfer do Cracovii

W ślad za pochwałami dla murawy poszły też propozycje dla jej opiekuna. Pierwsza była Cracovia i to ona skutecznie zabiegała o pozyskanie greenkepeera z Ligoty.

- Cracovia była akurat na etapie budowy centrum treningowego w Rącznej – wyjaśnia Stanisław Słowik. - Rok trwały nasze rozmowy i wreszcie się zdecydowałem na transfer. Po roku dano mi jeszcze pod opiekę stadion przy ulicy Józefa Kałuży. W minionym sezonie grały na nim dwie drużyny, bo zarówno Cracovia,jak i Puszcza Niepołomice. Daliśmy sobie radę!

Trudne momenty? - Najgorszy okazał się 3 grudnia zeszłego roku. W Krakowie zima przypuściła szturm. Intensywne opady śniegu sprawiły, że murawa znalazła się pod 40-centymetrową „poduszką". W okolicy wszystkie mecze zostały odwołane, ale Canal +, twierdząc, że poniósłby ogromne straty finansowe, uparł się, żeby mecze się odbywały i niestety ręcznie musieliśmy odśnieżać boisko. Trwało to 24 godziny, ale mecz się odbył. Cracovia zremisowała z Ruchem 4:4, jednak płyta została zrujnowana i przez to do końca sezonu mieliśmy problemy. Teraz już jednak murawa jest znowu przygotowana do sezonu i czekamy na inaugurację.

Jerzy Dusik

Po meczu z Islandią: brakowało wiary

W piątek biało-czerwone poznają rywalki w barażach o awans do mistrzostw Europy.

Polskie piłkarki po wtorkowej porażce 0:1 w Sosnowcu z reprezentacją Islandii pożegnały się nie tylko z Dywizją A Ligi Narodów. Podopieczne Niny Patalon z zerowym dorobkiem punktowym i bilansem bramkowym 4:17 okazały się też najgorsze pośród 16 zespołów grających w tym roku w europejskiej elicie, a to się przekłada na utrudnienia na drodze na turniej do Szwajcarii.

Przypomnijmy, że na ubiegłoroczne mistrzostwa Europy oprócz zespołu gospodarza i mistrzów oraz wicemistrzów 4 grup Dywizji A, które wywalczyły bezpośredni awans, o pozostałe siedem miejsc rozegrane zostaną baraże. Biało-czerwone przystąpią do nich, nie będąc rozstawione i muszą liczyć, że w piątek o godzinie 13.00 los będzie dla nich łaskawy.

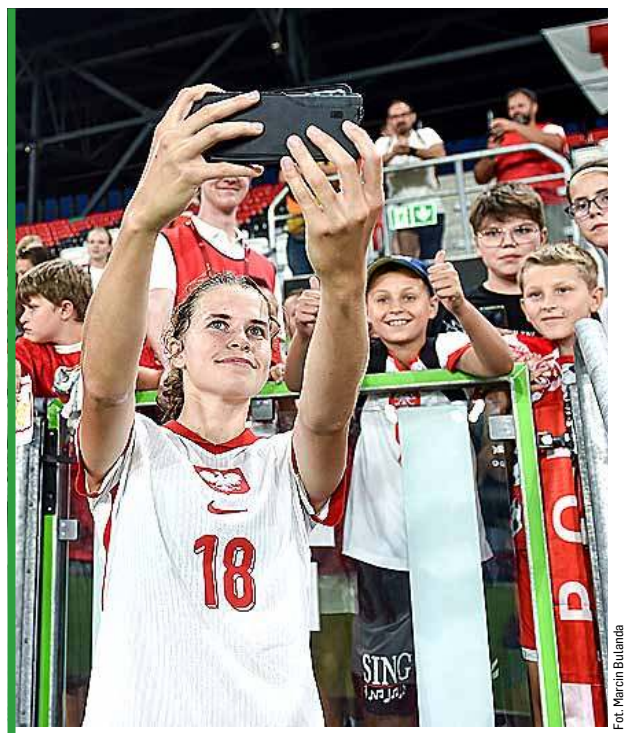
W pierwszej rundzie zaplanowanej na 23-29 października Polki zmierzą się z którąś z czołowych ekip dywizji C i na tym etapie na pewno będą zdecydowanymi faworytkami dwumeczu. Jeżeli uda się im z tej roli wywiązać, w co kibice mocno wierzą, to 22 listopada i 3 grudnia czeka je bezpośrednia walka o awans. Bez rozstawienia można się „nadziać" na któryś z zespołów Dywizji A.

Nie będzie łatwiej

- Tak zwane „rozstawienie" nie zawsze oznacza łatwiejszego rywala – powiedziała Nina Patalon. - Potwierdza to przykład Irlandii, która w 2023 roku jako pierwsza awansowała do Dywizji A i miała przez to teoretycznie lepszą pozycję wyjściową. Mimo to trafiła do grupy z Francją, Szwecją oraz Anglią i zajęła w tym towarzystwie czwarte miejsce. My musimy po prostu wykonać dużą pracę nad elementami, które szwankowały w dywizji A i zagrać najlepiej jak potrafimy, wykorzystując doświadczenie zdobyte w meczach z najlepszymi zarówno, w każdym spotkaniu w pierwszej rundzie baraży, jak i – wierzę głęboko, że będzie pozytywnie – w drugiej rundzie. Tam nie będzie łatwiej. Wszystkie drużyny są tego samego poziomu - dodała.

Istotni są wykonawcy

- Do każdego meczu trzeba się będzie możliwie najlepiej przygotować i... wierzyć, bo tej wiary trochę nam chyba brakowało w tegorocznych meczach o punkty - zauważyła Nina Patalon. - Przygotowując się do październikowych występów, po pierwsze przeanalizujemy to, co się wydarzyło w ostatnich trzech miesiącach. Później cały sztab będzie miał plan obserwacji, a musimy oglądać około 12 lig i na bazie tego powołamy 23 piłkarki, które będą w najlepszej dyspozycji i wygrają rywalizację dzięki formie zaprezentowanej we wrześniu i w październiku w rozgrywkach klubowych. To jest bowiem kluczowe. Taktyka jest ważna, ale istotni są wykonawcy i ich najlepszy wybór to jest moja rola selekcjonera - stwierdziła trenerka.



Fot. Marcin Bulanda

Po meczu polskie piłkarki robiły sobie w Sosnowcu zdjęcia z kibicami. W akcji Nadia Krezyman.

Jerzy Dusik

Sport 23302abb6d

Z tej mąki będzie dobry chleb

Byliśmy aktywni na rynku transferowym, zdając sobie sprawę, że wracając do Superligi musimy drużynę wzmocnić - akcentuje prezes Ruchu Chorzów, Klaudiusz Sevković.



Już nie przeciw, a razem z „Niebieskimi" będzie rywalizowała Kinga Stanisławczyk (z lewej).

Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Od poniedziałku zaczęły biegać, czyli wznowiły zajęcia po letnich urlopach piłkarki ręczne chorzowskiego Ruchu. Beniaminek rozpoczął przygotowania do nowego sezonu z nadziejami, że będzie on tak samo przyjemny jak poprzedni zakończony spektakularnym sukcesem, bo awansem - bez porażki i straty punktu - do Superligi. Zespół poprowadzi ten sam szkoleniowiec, Czech Ivo Vavra, który w listopadzie 2022 roku przejął go po Ukraińcu Walentynie Wakule i szybko znalazł wspólny język z dziewczynami, a także zyskał sympatię chorzowskich działaczy. - Ivo zostaje z nami, bo zasłużył na to solidną pracą - podkreśla prezes „Niebieskich", Klaudiusz Sevković. - W cuglach zrobiliśmy awans do Orlen Superligi i bardzo wysoko zawiesiliśmy poprzeczkę innym drużynom Ligi Centralnej, którą przeszliśmy bez porażki, bez straty punktu, wygrywając 22 kolejne spotkania! Nikomu wcześniej się ta sztuka nie udała, ale życzymy innym, by co najmniej wyrównali nasz rekord. Nie jest to sprawa łatwa, jak każdy wie, ale nam się to udało także dzięki działalności naszego szkoleniowca.

Kochane „stare", dobre „Masełko".

Z zespołu odeszła jedynie Nadia Bury, więc pozostanie ogranego i sprawdzonego w bojach kolektywu jest chyba najlepszą wiadomością okresu transferowego i najsolidniejszym fundamentem przyszłych dobrych wyników. Akurat ten casus w Chorzowie jest doskonale kojarzony, bo ostatni, 14. mistrzowski tytuł piłkarze Ruchu zdobyli zaraz po awansie do ekstraklasy, gdy obowiązywał klub zakaz transferów. Ta dygresja absolutnie nie oznacza, że działacze odpuścili temat wzmocnień. Wręcz odwrotnie. - Byliśmy aktywni na rynku transferowym, zdając sobie sprawę, że wracając do Superligi musimy drużynę wzmocnić - akcentuje Sevković. - Oczywiście zachowaliśmy wszystkie czołowe zawodniczki z poprzedniego, bardzo udanego sezonu. Podpisaliśmy nowe kontrakty bądź przedłużyliśmy umowy tylko z tymi, z którymi chcieliśmy kontynuować współpracę. Wsparliśmy się czterema nowymi piłkarkami, najbardziej newralgiczne pozycje zostały uzupełnione, obstawione. Przede wszystkim wzmocniliśmy pozycję kołowej, bo pozyskaliśmy Katarzynę Wilczek, czyli nasze kochane „stare", dobre „Masełko".

W tym miejscu należy się wyjaśnienie, że Katarzyna Wilczek (de domo Masłowska) wróciła do Chorzowa po dwóch latach gry w Kaliszu. Wcześniej bardzo lubiana przez kibiców "Masło" spędziła 10 sezonów w Ruchu, jest jedną z najbardziej utytułowanych zawodniczek w historii klubu. W 202 meczach ligowych zdobyła 451 bramek. - Bardzo tęskniłam za bliskimi. Wszyscy są na Śląsku, brakowało mi ich. Cieszę się, że Ruch wrócił do Superligi. Nie wiem, jak przeżyłabym mecze, gdybym grała w Kaliszu przeciwko Ruchowi... - mówiła podekscytowana ponowną grą w hali przy Dąbrowskiego 31-letnia zawodniczka, która zdecydowała się na powrót do Chorzowa ze względów rodzinnych.

Serbska rzutka

Kolejnym ruchem transferowym Ruchu było sfinalizowanie kontraktu z mierzącą 179 cm, doświadczoną w pucharowych rywalizacjach 28-letnią serbską rozgrywającą Aną Blagojević. - Chcieliśmy i szukaliśmy „rzutki" - kontynuuje prezes beniaminka. - Dostawaliśmy wiele różnych ofert z Europy, nawet z Brazylii, ale zdecydowaliśmy się na Anę, a życie pokaże, czy dokonaliśmy słusznego wyboru i czy był to dobry transfer. Rozmawialiśmy też z innymi zagranicznymi zawodniczkami, które były w kraju, ale one rozmowami z nami tylko sobie podbijały cenę. Ostatecznie poszły do innych klubów, z którymi my dzisiaj nie jesteśmy w stanie finansowo rywalizować.

W uzupełnieniu dodajmy, że Ruch ściągnął do Chorzowa także środkową rozgrywającą z Kalisza, Kingę Stanisławczyk. To mierząca 175 cm wychowanka Zagłębia Lubin, która przed przybyciem do Kalisza - w sezonie 2021/22 - reprezentowała barwy Piotrcovii. Była też powoływana do kadry narodowej juniorek oraz kadry B - w 2019 roku grała w mistrzostwach Europy do lat 19 dywizji B. W poprzednim sezonie 24-latka zdobyła 54 bramki i zapisała 160 asyst, co pod tym drugim względem zapewniło jej miejsce w ścisłej czołówce Superligi. Ostatnią uzupełnioną pozycją jest skrzydło, na której występować będzie 20-letnia, leworęczna Magdalena Widuch, ściągnięta do Chorzowa z Gniezna.

Nigdy nie mów nigdy

- Nie chcę mówić, że to koniec, bo na rynku transferowym różne rzeczy się dzieją - tak prezes Sevković odpowiada na pytanie czy to już koniec wzmocnień. - To zawsze jest taki okres, że albo się działa bardzo wcześnie, czyli już w grudniu i wtedy się dopina rozmowy, albo czeka do końca okienka, gdzie też czasami trafiają się jakieś perełki. Tak więc nigdy nie mów nigdy, ale jeśli byłoby nas jeszcze na kogoś stać, bo to jest najważniejszy punkt „zabawy", to dlaczego nie? My jednak stąpamy po twardym, ekonomicznym gruncie, więc kontraktujemy tylko te zawodniczki, na które nas stać. Podsumowując - mamy fajną, ciekawą i ambitną drużynę. Wrócą do niej jeszcze rehabilitująca się Aleksandra Salisz i po urlopie macierzyńskim Karolina Jasinowska, które również pokażą się z dobrej strony w Superlidze. Zawsze pierwszym celem beniaminka jest utrzymanie. Z tą ekipą spokojnie możemy o nie walczyć, a przy odrobinie szczęścia, będzie można uszczknąć coś więcej... Tak czy owak z tej mąki powinien być całkiem dobry chleb.

Zbigniew Cieńciała

Industria Kielce znalazła bramkarza

Bośniak Bekir Cordalija został nowym zawodnikiem Industrii Kielce. 20-letni bramkarz, uznawany za wielki talent, z aktualnym wicemistrzem Polski podpisał trzyletni kontrakt.

Kielecki klub poszukiwał bramkarza, po tym jak do THW Kiel odszedł Andreas Wolff. Cordalija uznawany jest za jednego z najbardziej utalentowanych zawodników młodego pokolenia na swojej pozycji. Do tej pory występował w rodzimej lidze w klubie RK Vogosca, z którym w poprzednim sezonie zagrał w Pucharze EHF. 20-latek zadebiutował już w reprezentacji Bośni i Hercegowiny.

- To młody i utalentowany bramkarz. Niedługo skończy dopiero 21 lat, a już gra w reprezentacji swojego kraju. Z naszej strony to inwestycja na przyszłość, bo wierzymy, że może stać się u nas jednym z najlepszych bramkarzy na świecie - powiedział trener Industrii Tałant Dujszebajew, cytowany przez oficjalną stronę internetową klubu.

W samych superlatywach o nowym nabytku kieleckiej drużyny wypowiedział się też trener RK Vogosca Enid Tahirović, były znakomity bramkarz, który występował w niemieckiej Bundeslidze w Frisch Auf Goeppingen i HSV Hamburg.

- Bekir to w tym momencie jeden z największych talentów na swojej pozycji w Europie. Przez dwa lata był pierwszym bramkarzem naszego klubu i zagrał już nawet w pierwszej reprezentacji Bośni i Hercegowiny. To duży sukces, bo mówimy przecież o 20-latku. To bardzo ambitny zawodnik i moim zdaniem Industria Kielce zrobiła świetny ruch sprowadzając go. To bardzo dobry i przemyślany transfer – podkreślił Tahirović.

Cordalija ma znakomite warunki fizyczne - 205 cm wzrostu oraz zakres ramion wynoszący 218 cm. - Mam też bardzo dobry refleks. Ale jest też wiele elementów nad którymi muszę pracować, doskonalić je i rozwijać. Jestem zaszczycony, że trafiam do tak wielkiego klubu. Od teraz każdego dnia będę dawał z siebie 200 procent na treningach i meczach, by spełnić pokładane we mnie oczekiwania - powiedział bośniacki bramkarz, który o miejsce w składzie Industrii rywalizował będzie z Miłoszem Wałachem i Sandro Mestricem.

Z zespołem wicemistrza Polski pożegnali się Paweł Paczkowski, Szymon Wiaderny, Nicolas Tournat i wspomniany wcześniej Wolff. Nowymi zawodnikami drużyny, oprócz Cordaliji, zostali 36-letni hiszpański prawy rozgrywający Jorge Maqueda i 22-letni francuski kołowy Theo Monar.

Kielecki zespół przygotowania do nowego sezonu rozpocznie 29 lipca.

(PAP)

Sport 23302abb6d

Dłużej niż rok

Nowy sponsor, nazwa drużyny i trener – będzinianie gotowi na grę w PlusLidze.

NOWAK-MOSTY MKS BĘDZIN



Fot. Michał Micor.

Kamil Kowal prezes klubu z Będzina i Władysław Nowak szef Nowak-Mosty, nowego sponsora MKS-u wierzą, że obie strony zyskają na współpracy.

Będzinianie po trzech latach przerwy znów zagrają w elicie. Działacze robią wszystko, by ich przygoda nie trwała jedynie rok. W lecie nie tylko wzmocnili kadrę – udało się zatrzymać kluczowych graczy i pozyskać m.in. mistrza świata z 2018 roku, Damiana Schulza czy serbskiego przyjmującego Lukę Tadicia, ale też zatrudnili nowego szkoleniowca. Drużynę poprowadzi Dawid Murek, wielokrotny reprezentant Polski, uczestnik igrzysk olimpijskich w Atenach (2004). To odważny ruch działaczy, bo Murek dopiero jest na początku swojej szkoleniowej kariery. Do tej pory prowadził jedynie siatkarki Volley Wrocław (sezon 2020/21) i siatkarzy Gwardii Wrocław (2022/23). - Miło mi być częścią tego klubu i zespołu. Cieszę się, że szefowie MKS-u zaufali mojej osobie - powiedział Dawid Murek. - Przed rozpoczęciem rozgrywek nie chcę wskazywać konkretnego miejsca, o które będziemy walczyć. Na to zdecydowanie za wcześnie. Natomiast, plan minimum jest oczywisty, utrzymanie. Będzie to bardzo trudny sezon zarówno dla klubu, jak i dla mnie, bo przypomnę, spadają aż trzy zespoły - dodał.

Po skompletowaniu kadry i sztabu szkoleniowego przyszedł czas na przedstawienie nowego sponsora tytularnego. W PlusLidze będzinianie wystąpią pod nazwą Nowak-Mosty MKS. Umowa ma obowiązywać rok, z opcją przedłużenia. Ta sama umowa zawiera zmianę nazwy hali, w której występują siatkarze, na Nowak-Mosty Będzin Arena. - Cieszę się, że dzisiaj jest taki szczególny moment, w którym możemy państwu przedstawić sponsora tytularnego. Mam nadzieję, że ta współpraca będzie trwała przez szereg lat i przez te lata w wspólnie z naszym nowym sponsorem będziemy budowali siłę nie tylko będzińskiej i zagłębiowskiej siatkówki, ale również siatkówki w całym kraju - powiedział prezydent Będzina Łukasz Komoniewski. - Naszym celem pozostaje budowa silnego siatkarskiego ośrodka i sukcesywne umacnianie jego pozycji w tabeli PlusLigi. Mam nadzieję, że na tej współpracy skorzystamy wszyscy: klub, sponsor tytularny i kibice - wtórował mu Kamil Kowal, prezes MKS-u.

Prezes nowego sponsora będzińskiego klubu, Władysław Nowak, podkreślał zaangażowanie swojej firmy w sport. Nowak-Mosty wspomagał lub wspomaga m.in. Wisłę Kraków, MKS Myszków, LKS Goczałkowice-Zdrój i Zagłębie Sosnowiec

- Po piłce nożnej, koszykówce, żeglarstwie, szachach przyszedł czas na siatkówkę w najlepszej lidze świata. Bardzo się cieszę z możliwości sponsoringu tytularnego klubu z Będzina. Od dłuższego czasu przyglądamy się działalności, osiąganych sukcesach, wprawdzie w pierwszej lidze, ale teraz mam nadzieję, że też w PlusLidze. Złoty i dwa srebrne medale zdobyte w ciągu ostatnich trzech sezonów mogą skutkować jeszcze większymi osiągnięciami. Mam nadzieję, że poprzez tę współpracę na polskiej mapie siatkówki będziemy promować naszą markę - stwierdził Nowak.

Zapytany o powody wejścia w sport odparł: - Pierwszy raz jesteśmy sponsorem tytularnym. Wywodzę się ze sportu, w młodzieńczych latach grałem w piłkę w trampkarzach Kolejarza Stróże i Glinika Gorlice. Biznes to też rodzaj sportu, jest w nim rywalizacja. W umowie z MKS-em Będzin jest opcja przedłużenia. To jest taki rok rozpoznawczy. Co nam dają umowy sponsorskie? Sprzedaży przez to nie będziemy mieć większej, przetargów nie wygramy. W tej sposób budujemy markę, daje nam to rozpoznawalność. Pracownicy inaczej podchodzą do firmy, która jest znana medialnie. Nie angażowaliśmy się jeszcze w siatkówkę, a tu jest PlusLiga, sezon olimpijski i dodatkowo największa gwiazda na świecie Wilfredo Leon wraca do polskiej ligi - powiedział.

Dzięki zapewnieniu finansów siatkarze będą mogli skupić się na treningach i grze. - Ta umowa pokazuje jak poważne plany ma klub w związku z nadchodzącym sezonem i oczywiście na przyszłość, jeżeli chodzi o współpracę z potencjalnymi partnerami. Jest to bardzo istotne dla nas - dla sztabu trenerskiego, jak i zawodników. Z mojego doświadczenia, jeszcze jako zawodnika, a grałem prawie ćwierć wieku, pamiętam, że jeżeli mieliśmy to najważniejsze zabezpieczenie, czyli finansowe, wtedy zawodnicy mają komfort pracy i nie muszą się koncentrować na innych rzeczach - podkreślił Murek.

(mic, sow)

Celujemy w „dychę”

Rozmowa z **Kamilem Kowalem**, prezesem beniaminka PlusLigi, Nowak-Mosty MKS-u Będzin



Fot. PAP/Jarek Praszkiewicz

Czy rozmowy z przyszłym sponsorem tytularnym były trudne?

- Nim odpowiem chciałbym wszystkim przypomnieć, że ostatniego sponsora mieliśmy cztery czy nawet pięć lat temu. Przez trzy kolejne sezony odbudowywaliśmy naszą markę. Udało się to zrobić, dlatego teraz rozmowy ze sponsorami były nieco łatwiejsze. Przedstawiliśmy prezesowi i właścicielowi firmy Władysławowi Nowakowi nasz projekt, który bardzo mu się spodobał. Warto przy tej okazji wspomnieć, że sponsor objął opieką nie tylko pierwszą drużynę w PlusLidze, ale również naszą młodzież. Od pierwszej do ostatniej klasy liceum trenuje u nas 130 młodych siatkarzy. Chcielibyśmy z nich mieć pociechę w przyszłości.

Budżet mocno wzrósł w porównaniu z poprzednim sezonem? Wymagania przecież mocno poszły do góry...

- Nie będę się wdawał w szczegóły, ale budżet oczywiście jest większy niż w I lidze, bo wymagania w PlusLidze zdecydowanie wzrosły. Musieliśmy dokonać zmian w kadrze, a rynek transferowy w naszym kraju jest taki, jaki jest, czyli niezwykle wymagający. Do tego w naszym przypadku wybór był mocno ograniczony, bo zaczęliśmy kompletować kadrę po awansie, czyli w maju. Wtedy większość zawodników miała już podpisane kontrakty w nowych klubach.

Kadrę trudno było zatem skompletować?

- I tak, i nie. Trzon zespołu - sześciu zawodników - pozostał. Mamy w drużynie trzech obcokrajowców, a wśród nich jest już na dobre zadomowiony u nas Kanadyjczyk Brandon Koppers, który tu założył rodzinę i mieszka w pobliżu Będzina.
Staraliśmy się wybierać zawodników-pasjonatów, ambitnych i walecznych. Te cechy w dużej mierze będą decydowały o obliczu naszej drużyny. Chcemy też stworzyć rodziną atmosferę, bo ona również będzie miała wpływ na wyniki. Dlatego też zaewentualne niepowodzenia nie chcemy obarczać trenera czy konkretnego zawodnika, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Działacze również muszą się czuć odpowiedzialni za wyniki. Takie zasady obowiązują w naszym klubie.

Kiedy panu zakiełkował w głowie pomysł zatrudnienia trenera Dawida Murka? I czy o odejściu jego poprzednika Wojciecha Serfiana wiedział pan wcześniej?

- Tego odejścia domyślałem się, bo od dłuższego czasu spekulowano o tym w środowisku. Natomiast gdy dowiedziałem się, że Dawid Murek jest wolnym szkoleniowcem, od razu byłem przekonany, że warto powierzyć mu stery drużyny. Wybrałem go ze względu na charakter, bo ma świetny kontakt z zawodnikami i każdy mecz mocno przeżywa. On doskonale wpisuje się w DNA naszej drużyny. Jestem przekonany, że to właściwy wybór. Otrzymał szansę i jestem przekonany, że ją w pełni wykorzysta.

To będzie niezwykle wymagający sezon dla wszystkich drużyn w PlusLidze, m.in. dlatego, że do I ligi spadną aż trzy. Wielu już teraz skazuje was na walkę o utrzymanie.

- Nie wiem dlaczego funkcjonuje u nas stereotyp, że beniaminek musi walczyć o utrzymanie i jest postrzegany jako pierwszy kandydat do spadku? Wierzę, że zawodnicy podejmą wyzwanie, będą odpowiednio zmotywowani. Jeżeli będzie pozytywna energia, to możemy wiele zwojować. Powiem odważnie: celujemy w dziesiąte miejsce!

Wracając zatem do budżetu, jest on zbudowany na poziomie dziesiątego miejsca?

- (śmiech)... Znów wracamy do kasy! Odpowiem nieco przewrotnie: moim zadaniem oraz pozostałych pracowników klubów jest dostarczenie odpowiednich narzędzi do pracy, by można było zrealizować wyznaczone cele. Te narzędzia są przygotowane. A zawodnicy? Oni muszą spełniać swoje marzenia. Każdy mecz będzie traktowany jak ostatni w sezonie. A pieniądze to nie wszystko. Ale oczywiście bogatym w tej najlepszej lidze świata jest łatwiej funkcjonować.

Rozmawiali
Michał Micor
Włodzimierz Sowiński

Sport 23302abb6d

Nie ukrywałam, że cie
Teraz muszę wyhamować i

Rozmowa z **Anną Kiełbasińską**, wybitną sprinterką, która zakończyła karierę

Jak spędza czas sportowiec, który z dnia na dzień zawiesił buty na kołku?

- Robię to, na co ciało i umysł mają ochotę. Na przykład leżę na kanapie i oglądam seriale. Nie miałam na to wcześniej tyle czasu. Spotykam się z przyjaciółmi, staram się odpoczywać. Teraz dopiero odkrywam dla siebie Warszawę…

Wypłakała już pani wszystkie łzy?

- Nie da się w ciągu dwóch tygodni pożegnać dwudziestu lat kariery. Wciąż to przepracowuję, doświadczam różnych emocji. I tak zapewne będzie przez miesiące, a nawet lata.

Mam wrażenie że błędnie interpretuje się moje łzy na mistrzostwach Polski. Te emocje tak wybuchły, bo dużo wcześniej wiedziałem, że jak mi się ten start nie uda, to będzie oznaczało koniec mojej kariery.

Niczym przeżywanie żałoby?

- Bardzo możliwe. Przecież na każdym kroku różne pierdoły w moim mieszkaniu przypominają mi o tych wspólnych latach. Tu odżywki, tam buty do biegania, tu jeszcze sportowe ubrania, które są wszędzie... Jak tu nie myśleć? Muszę to wszystko przeorganizować, nawet wymienić garderobę w szafach. Na oswojenie się z tą zmianą trzeba kilku lat. A te łzy z Bydgoszczy…

Tak, słucham...

- Mam wrażenie że błędnie interpretuje się moje łzy na mistrzostwach Polski. Oczywiście wywołało je rozczarowanie i bezsilność, że nie udało się dobiec na igrzyska do Paryża, ale te emocje tak wybuchły, bo dużo wcześniej wiedziałem, że jak mi się ten start nie uda, to będzie oznaczało koniec mojej kariery. To były łzy nostalgiczne, oznaczające koniec przygody. Przygody pięknej, satysfakcjonującej, która jednak właśnie dobiegła do mety. Łzy pożegnania z bieżnią.

Sytuacja zero-jedynkowa, bez szarej strefy na „być może"?

- To już był ten czas. Karierę miałam skończyć już trzy lata temu, po igrzyskach w Tokio. Ale potem szło wszystko cudownie, rok później były mistrzostwa Europy w Monachium i trzy medale, żal było z tego nie korzystać. Ale już wtedy miałam problemy.

Jak to?

- No tak, aż w końcu latem ubiegłego roku zdecydowałam się na obustronną plastykę kości piętowych, wycięcie narośli, które raniły ścięgna Achillesa, do tego czyszczenie kaletki maziowej. Lewa noga sobie świetnie z tym poradziła, prawa niestety odmówiła współpracy. Cierpiałam, ale jeszcze próbowałam. Jeżeli jednak ciało kategorycznie mówi „nie", to znak, że trzeba kończyć. Bieganie w takim stanie było czystym masochizmem.

Nie było więc szoku. Bilansu kariery dokonała pani znacznie wcześniej?

- Jeżeli dokonuję zmian w swoim życiu, to się do nich przygotowuję. Przez ostatnie lata byłam bardzo świadoma, gdzie jestem, co mogę i czego chcę. I wdzięczna za wszystko.

Nie jest pani tylko wdzięczna trenerowi Aleksandrowi Matusińskiemu za Tokio...

- To jest jedyny mój żal, ale nie wiem, czy w kontekście całej mojej wspaniałej kariery chcę wybijać ten moment na plan pierwszy… Nie chcę rozdrapywać, że rozżalona Kiełbasińska nie mogła osobiście doświadczyć medalu.

Skoro robimy bilans, może wyjaśnijmy jednak do końca. Na igrzyskach w Tokio biegła pani w eliminacjach sztafety 4x400 metrów, ale w finale trener na pierwszej zmianie postawił na Natalię Kaczmarek. Polki zdobyły srebro z nowym rekordem kraju.

- Ech, byłam wtedy w wybornej formie i po sprawdzianach trener dobrze o tym wiedział. Podczas wewnętrznego testu pokonałam dziewczyny, które w nim biegły, bez tych ze sztafety mieszanej (Natalia Kaczmarek i Justyna Święty -Ersetic – przyp. red.), a tydzień po igrzyskach wykręciłam na mityngu w Szwajcarii 50,38, najszybciej w Polsce. To była pieczątka. Wstawienie mnie w finale nie byłoby na wyrost. Można było zestawić sztafetę inaczej, nie musiałam biegać na pierwszej zmianie. Domyślam się, że decyzja nie była dla trenera łatwa, ostatecznie obroniła się, bo zdobyliśmy srebro. Ale ja tego nie mogłam przeżyć jako swój sukces.

Medal pani dostała, choć nie mogła stanąć na podium.

- Słyszałam, Ania, co się łamiesz! Masz medal, stypendium, te same pieniądze… To jest totalnie nieporozumienie! Naprawdę chodzi o zupełnie inne wartości niż kasa. Chodzi o to, że nie przeżyłam tych wszystkich emocji związanych z bieganiem w tym konkretnym dniu, w olimpijskim finale, nie doznałam poczucia spełnienia, szczęścia, wejścia na podium razem z dziewczynami. I już nigdy tego nie przeżyję, nie było mi dane, przecież doskonale wiedziałam, jaki jest sport, że to była szansa, która nigdy już nie wróci. Są emocje i przeżycia, których nie da się odtworzyć.

Myślę, że każdy wrażliwy człowiek doskonale panią zrozumie i współczuje. Ale później były mistrzostwa Europy w Monachium, gdzie zdobyła pani aż trzy medale, indywidualnie na 400 metrów i w obu sztafetach. Czy to najpiękniejsze wspomnienie?

- Wcześniej był jeszcze mój indywidualny finał na 400 m na mistrzostwach świata w Eugene, gdzie w sztafecie odpadłyśmy w eliminacjach. W Monachium wyrównałam rachunki. To w ogóle niewiarygodne, że tak się to wspaniale potoczyło. I to spełnienie w sztafecie 4x100 metrów. Byłam pod wrażeniem, że przed finałem trener Jacek Lewandowski podjął to ryzyko. Ale każda z nas, Ewa Swoboda, Pia Skrzyszowska i Marika Popowicz-Drapała czuły, że to się może udać w takim zestawieniu. I jeszcze pobiegłyśmy po rekord Polski, niesamowite!



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Wspaniała kariera Anny Kiełbasińskiej już za nią.

Chodzi o to, że nie przeżyłam tych wszystkich emocji związanych z bieganiem w olimpijskim finale, nie doznałam poczucia spełnienia, wejścia na podium razem z dziewczynami. Są emocje i przeżycia, których nie da się odtworzyć.

Ale podobno żałowała pani, że za późno zmieniła dystans z krótkiego sprintu, od którego zaczynała bieganie, na dłuższy, 400 metrów?

- To takie gadanie! Nie zrobiłam tego wcześniej, bo bałam się, że bardziej intensywny trening pogłębi moją chorobę…

...łysienie plackowate, chorobę z autoagresji. Pamiętam, gdy nosiła pani turbany.

- Strasznie denerwowało mnie, gdy mówiono, że Kiełbasińska jest za leniwa na wydłużenie dystansu, że boi się ciężkiego treningu… To była nieprawda! Ta sytuacja jednak już tak napęczniała, że musiałam się ujawnić i wtedy wszyscy już wiedzieli. Nie miałam nic do stracenia. I jak to zrobiłam, to zgubiłam zbędny balast, zszedł ze mnie cały stres i moja choroba się wycofała.

Prawda nas wyzwoli?

- Coś w tym jest. Jak się boimy czegoś i to ukrywamy, dusimy w sobie, to jest nam bardzo ciężko. A jak wyznamy, jak jest naprawdę, to ciężar spada z ramion i wszystko staje się łatwiejsze.

Jak dzisiaj żyje się pani z tą przypadłością autoimmunologiczną?

- Choroba jest w fazie remisji, nie daje żadnych oznak. Ale mam ją w sobie cały czas, w każdej chwili może znów przypomnieć o sobie. Staram się dbać o siebie, dobrze jeść, wysypiać, unikać stresu, kiedyś dużo uprawiałam jogi.

Co będzie pani robić gdy już wypocznie i nabierze ochoty do działania?

- Jestem w komisjach zawodniczych PZLA i PKOl, także w komisji fair play PKOl, oczywiście pro bono, ale cieszę się, że mogę komuś pomóc, będę chciała tę pracę kontynuować. Wiele pomysłów prywatnych jest na etapie planowania, testowania, niektóre razem z fajnymi ludźmi. Lada dzień ruszy na przykład moja strona internetowa, która powinna powstać znacznie wcześniej, ale chciałam się do tego dobrze przygotowywać.

Dlaczego dopiero teraz, już po karierze?

- Będę „sprzedawać" tam swoje usługi i produkty. O niektórych rzeczach nie mogę jeszcze mówić, są w procesie. Ale w tym roku odbędzie się już druga edycja mojego Slow Sprint Camp w przepięknym ośrodku Łęgucki Młyn na Mazurach, gdzie kiedyś wypoczywał I sekretarz partii Władysław Gomułka. Mamy ścieżki biegowe, własne zejście do jeziora, przepiękną salę do jogi, znakomity catering i – bardzo dla mnie ważne - pyszną kawę!

To choćby dla tej kawy jestem w stanie tam przyjechać.

- Zapraszam! Moje przeróżne przejścia w ciągu całej

Sport 23302abb6d

erpię. odpocząć

kariery dały mi wielki bagaż wiedzy, którą chcę się dzielić. Nigdy nie lubiłam robić czegoś tylko dlatego, że ktoś mi kazał, sama chciałam rozumieć, jaki jest cel konkretnej pracy, jak wyjaśnić ruch, który mam wykonać. Staram się motywować amatorów biegania, jak trenować efektywnie, jak pracować nad techniką biegu, jak unikać kontuzji, jak dbać o ciało i zdrowie. Chcę też zaproponować pakiet treningów usprawniających technikę biegu, zdobycia szybkości, i tak dalej.

Czyli jednak natura trenera?

- Może kiedyś, nie wykluczam. Mam wielką wiedzę i wydaje mi się, że niezłe oko, młodzi mnie namawiają. Trenowałam jednego pana, który przygotowywał się do mistrzostw świata lekarzy, zadziwiająco fajnie się to układało. Gdy mam poczucie sprawczości czegoś, czuję się spełniona w życiu. Na razie jednak nie chcę być trenerem na pełnowymiarowy etat, dziś muszę odpocząć od takiego trybu – bo trener żyje tak samo jak zawodnik, musi być przy nim i dla niego, spędza z podopiecznym niemal cały czas, jeździ na zgrupowania. A ja, po tylu latach intensywnych wyjazdów, chcę pobyć na miejscu, ułożyć sobie życie prywatne, spotykać z rodziną, przyjaciółmi, nacieszyć się „normalnym" życiem.

Zjechałam z wysokiego C i jest we mnie nawet trochę niepokoju, że nie robię nic. Nie mogę się doczekać nowych rzeczy, ale muszę, mogę i mam prawo przeżyć koniec kariery na własnych warunkach, nigdzie i za niczym nie goniąc.

Czyli zakupy, spacery, przyjaciele?

- Zjechałam z wysokiego C i jest we mnie nawet trochę niepokoju, że nie robię nic. Człowiek żyje w takim pędzie, że jak na chwilę się wyloguje, to od razu boi się, że coś ważnego mu ucieknie. Chcę wyhamować. Rozmawiam z wieloma fajnymi ludźmi, co mnie bardzo ekscytuje, nie mogę się doczekać nowych rzeczy, ale muszę, mogę i mam prawo, żeby przeżyć koniec kariery na własnych warunkach, nigdzie i za niczym nie goniąc. Ostatnio stawiam sobie pytanie: czy ja mogę wyjechać na wakacje? I słyszę, Ania, nawet musisz!

Na razie postawiła pani na swoim i leci do Paryża, ale w innej roli.

- Będę komentować wydarzenia lekkoatletyczne jako ekspert TVP, obok Piotrka Małachowskiego.

W sumie nic nowego, przetarła już pani telewizyjne szlaki na kilku poprzednich mistrzostwach, w trakcie których leczyła kontuzję.

- To prawda, raz nawet zdarzyło mi się komentować jakieś wydarzenie tenisowe – jako osoba znająca sport od kuchni i od strony mentalnej. Ale dotąd to były maksymalnie dwa-trzy dni przed kamerą, w Paryżu czeka nas 12-dniowy maraton.

Przydałby się obóz przygotowawczy.

Może się pan z tego śmiać, ale muszę śledzić teraz wszystkie informacje na bieżąco, nie tylko w moich konkurencjach. Gdy byłam zawodniczką, orientowałam się w lekkoatletyce ogólnie, ale skupiałam na sobie i rywalkach, to był priorytet. Teraz muszę wyjść trochę z tego kokonu, odrobić kilka lekcji, jak choćby chód w sztafecie.

Lubi to pani?

- Owszem, ale tylko pozornie wygląda to na prostą robotę, że siedzimy na stołkach i sobie gadamy przed i po zawodach. Musimy być na wszystkich sesjach, wiedzieć, co się dzieje na arenie, do tego dogrywane są wstawki i programy, które nie pojawiają się w bezpośredniej transmisji, ale są wykorzystywane. Dla sportowca, który koncentruje się na jednym starcie, a potem na regeneracji – to jest wyzwanie, być w permanentnej gotowości przez prawie dwa tygodnie. Ja zostałam w ciele sportowca, cały czas martwię się, że nie regeneruję się wystarczająco. To kluczowe, żeby być wypoczętym i dobrze się czuć, a ja lubię dobrze się czuć. Ale myślę, że sobie dam radę i czekam już na emocje w Paryżu.

Więc szklanka jest w połowie pełna?

- Oczywiście! Jestem bardzo usatysfakcjonowanym sportowcem, miałam piękną karierę, z optymistycznym wydźwiękiem. Ale po tylu latach ona musi się skończyć. Kibice piszą do mnie, żebym zmieniła decyzję. Ale ja nigdy nie ukrywałam, co się ze mną dzieje, informowałam na bieżąco, że cierpię i teraz chcę mieć też przestrzeń, żeby odpocząć.

Rozmawiał Tomasz Mucha



Fot. Sven Beyrich/Just Pictures/SIPA USA/PressFocus

NAJWAŻNIEJSZE SUKCESY

ANNA KIEŁBASIŃSKA ur. 26 czerwca 1990 w Warszawie – wicemistrzyni olimpijska (Tokio, 2021), wicemistrzyni świata (Doha, 2019), oraz halowa mistrzyni Europy (Glasgow, 2019) w sztafecie 4x400 metrów. Brązowa medalistka mistrzostw Europy (Monachium, 2022) i halowych mistrzostw Europy (Stambuł, 2023) w biegu na 400 m oraz wicemistrzyni Europy w sztafetach 4x100 m i 4x400 m (2022) i brązowa medalistka halowych ME w sztafecie 4x400 m (2023).



Fot. PAP/EPA

Anne Hidalgo pokazuje, że z czystością w Sekwanie nie jest źle.

Wykąpali się w Sekwanie

Zrobili to mer Paryża Anne Hidalgo, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Tony Estanguet i prefekt stołecznego regionu Marc Guillaume.

DO IGRZYSK 8 DNI

To symboliczny akt, który miał pokazać, że rzeka, która ma odegrać sporę rolę w igrzyskach, jest w odpowiednim stanie i jej czystość nie budzi wątpliwości.

Ubrana w pływacką piankę Hidalgo zanurzyła się w Sekwanie w pobliżu ratusza i katedry Notre Dame. Mer już wcześniej zapowiadała, że to zrobi, ale przełożyła termin ze względu na przedterminowe wybory parlamentarne, a od końca czerwca - zdaniem miejscowych władz - stan bakteriologiczny Sekwany poprawił się, choć wcześniej stwierdzono w wodzie m.in bakterie coli.

Hidalgo poszła w ślady francuskiej minister sportu Amelie Oudea-Castery, która w sobotę pływała w Sekwanie w zakrywającym całe ciało kombinezonie.

Poziom zanieczyszczenia rzeki, na której ma się odbyć m.in. ceremonia otwarcia imprezy, zawody triathlonowe oraz w pływaniu na otwartym akwenie, od miesięcy był jednym z głównych tematów w okresie przygotowań do igrzysk.

Od 2015 roku organizatorzy poczynili znaczne inwestycje – kosztujące ponad miliard euro – w przygotowanie Sekwany do zawodów olimpijskich i zapewnienie paryżanom czystszej rzeki w latach po imprezie. Plan obejmował m.in. budowę gigantycznego podziemnego zbiornika wody w centrum Paryża, renowację infrastruktury kanalizacyjnej i modernizację oczyszczalni ścieków.

Pomimo powtarzanych regularnie obietnic polityków, kąpiel w Sekwanie jest oficjalnie zakazana od ponad wieku. Jacques Chirac, były prezydent Francji, podobne deklaracje jak organizatorzy igrzysk złożył w 1988 roku, gdy był merem Paryża, ale nie znalazły one przełożenia na stan czystości rzeki, będącej jednym z symboli francuskiej stolicy.

Igrzyska olimpijskie w Paryżu odbędą się w dniach 26 lipca - 11 sierpnia.

(PAP)

PRZEDWCZESNE WYROKI?

■ Nie postawiono mi zarzutów naruszenia przepisów antydopingowych, proszę o niewydawanie przedwcześnie wyroków w mojej sprawie - oświadczył skoczek wzwyż Norbert Kobielski.

Dwa niezależne źródła PAP potwierdziły w poniedziałek, że sprawa jest poważna, gdyż chodzi o wykrycie środka niedozwolonego podczas zawodów i trwa jej wyjaśnianie.

Ostatecznie Kobielski znalazł się składzie ekipy olimpijskiej ogłoszonej w poniedziałek po południu w PKOl, a także na liście lekkoatletów opublikowanej przez PZLA.

Dyrektor Polskiej Agencji Antydopingowej (POLADA) Michał Rynkowski powiedział, że tej sprawy nie komentuje, a POLADA się nią nie zajmuje i czeka na działania AIU - Athletics Integrity Unit. AIU to niezależna organizacja międzynarodowa z siedzibą w Monako, utworzona przez światową federację World Atheltics w celu zapewnienia uczciwości w lekkoatletyce. Zawodnik nie jest w tym momencie zawieszony i ma prawo normalnie przygotowywać się do igrzysk oraz uczestniczyć w zawodach.

W środę oświadczenie wydał Kobielski. „W nawiązaniu do publikacji medialnych informujących o naruszeniu przeze mnie przepisów antydopingowych, chcę wyraźnie oświadczyć, że nie postawiono mojej osobie zarzutów naruszenia przepisów antydopingowych, jak również nie jestem tymczasowo zawieszony, a przez to mogę w pełni uczestniczyć w przygotowaniach i współzawodnictwie sportowym (...) - napisał skoczek wzwyż w mediach społecznościowych.

Dodał, że mając to na uwadze prosi, aby „kibice, przedstawiciele środowiska sportowego, a przede wszystkim przedstawiciele mediów nie wydawali przedwcześnie wyroków w mojej sprawie".

Kobielski to szósty zawodnik tegorocznych mistrzostw Europy w Rzymie. Przed rokiem był 10. w mistrzostwach świata w Budapeszcie i trzeci w rozgrywanych jako element Igrzysk Europejskich Drużynowych Mistrzostwach Europy.

ZWYCIĘSTWO ANDREJCZYK

MITYNG W LUCERNIE

■ Przygotowująca się do występu w igrzyskach w Paryżu Maria Andrejczyk wygrała konkurs oszczepniczek podczas mityngu w Lucernie. Uzyskała 61,51. Drugi wśród mężczyzn był Cyprian Mrzygłód - 80,20.

Piąte miejsce w biegu na 800 metrów zajęła Angelika Sarna - 2.00,76. W biegu na 110 metrów przez płotki ósmy czas – 13,71 – uzyskał Jakub Szymański. Siódmy wśród kulomiotów był Michał Haratyk – 19,56.

Sport 23302abb6d

Rocznica tragedii w Pirenejach

Dokładnie 29 lat temu, 18 lipca 1995 roku, włoski kolarz Fabio Casartelli zmarł w wyniku urazów głowy, których doznał w kraksie podczas 15. etapu Tour de France. To czwarta śmiertelna ofiara Wielkiej Pętli. Do tej pory ostatnia. I oby tak już zostało...

Casartelli nie doczekał 25. urodzin. Trzy lata wcześniej w pięknym stylu zdobył w Barcelonie złoty medal olimpijski w wyścigu ze startu wspólnego. Ten sukces pozwolił mu spełnić kolejne marzenie i podpisać zawodowy kontrakt. Do tego szybko dołożył kolejne, bo wystartował i ukończył Giro d'Italia. Dobra postawa w pierwszej części 1995 roku zaowocowała miejscem w składzie grupy Motorola na największej kolarskiej imprezie na świecie. Na francuskich szosach pomagał takim asom jak Lance Armstrong, Alvaro Mejia czy Steve Bauer.

Rozpoczął się trzeci, ostatni tydzień rywalizacji. Na kolarzy czekał kolejny niezwykle trudny etap w Pirenejach z sześcioma wspinaczkami, w tym na legendarny Tourmalet i do mety w Cauterets. Tragedia wydarzyła się na zjeździe z tej pierwszej, Col de Portet d'Aspet. Casartelli uczestniczył w kraksie z innymi zawodnikami, ale jako jedyny uderzył głową w betonowy blok ustawiony wzdłuż pobocza. Nie miał kasku, bo nie były wtedy obowiązkowe. Leżał w kałuży krwi.Błyskawicznie otrzymał pomoc medyczną, ale w trakcie transportu helikopterem do szpitala przestał oddychać i mimo prób reanimacji zmarł.

Mimo śmierci w peletonie etapu nie przerwano. Pamięć kolarza uczczono następnego dnia, kiedy kolumna wyścigu niczym kondukt żałobny z zawodnikami Motoroli na czele w spokoju i ciszy przejechała od startu do mety. Trzy dni po śmierci kolegi Armstrong, wygrywając w Limoges, zadedykował mu to zwycięstwo. Wkrótce w okolicach miejsca, gdzie doszło do tragedii, postawiono pomnik. To zegar słoneczny, który wskazuje trzy daty - urodziny, śmierć i dzień, w którym Casartelli zdobył olimpijskie złoto.

Po tym śmiertelnym wypadku rozgorzała dyskusja o obowiązku jazdy w kasku przez zawodowców. Lekarze argumentowali, że mając taką ochronę głowy obrażenia Włocha nie byłyby aż tak poważne. Musiało jednak minąć kolejnych osiem lat i dojść do kolejnego dramatu na szosie, żeby Międzynarodowa Unia Kolarska w końcu wprowadziła nakaz noszenia kasków. Stało się to dopiero po tragicznym w skutkach wypadku podczas wyścigu Paryż - Nicea, w wyniku którego poważnych obrażeń głowy doznał Andriej Kiwiliew. Kazach zmarł dzień po przewiezieniu go do szpitala.

Tom Simpson

To najsłynniejszy z czarnej listy - w 1965 r. Brytyjczyk został mistrzem świata, wygrał także tak prestiżowe klasyki jak Wyścig Dookoła Flandrii, Mediolan - San Remo czy Giro di Lombardia. W 1967 zamierzał triumfować w Tour de France. Przed 13. etapem zajmował jednak dopiero 7. miejsce. Na starcie w Marsylii było bardzo gorąco. Simpson już wtedy wyglądał na zmęczonego. „To nie upał, to Tour" - wyjaśniał. Podczas wspinaczki na Mont Ventoux, jedną z najsłynniejszych kolarskich gór, najpierw odpadł od prowadzącej grupy, potem zaczął tracić kontrolę nad rowerem, aż w końcu z niego spadł. Próbował jednak kontynuować jazdę. Przejechał jeszcze niecałe pół kilometra, a potem stracił przytomność. Zmarł w szpitalu, gdzie dotarł helikopterem. Oficjalna przyczyna śmierci: niewydolność serca spowodowana wyczerpaniem. Nieoficjalna: połączenie powszechnej wtedy w peletonie amfetaminy, alkoholu, rozstroju żołądka i upału.

Francisco Cepeda

Latem 1935 r. Hiszpan rozbił się w okolicach Riouperoux, po zjeździe ze słynnej alpejskiej przełęczy Galibier. Nieprzytomnego, z pękniętą czaszką, przewieziono go do szpitala w Grenoble, gdzie trzy dni później zmarł. „Biedny mały Cepeda... Inni kolarze, gdy usłyszeli o jego śmierci, przez chwilę zastanawiali się nad wszystkimi niebezpieczeństwami, jakie na nich czekają. Jednak szybko, niczym kierowca, który zwalnia na widok samochodu z kołami u góry, ponownie ruszają, myśląc 'Nie ja!'. Błyskawicznie zapominają o tragedii, bo gdyby się nad nią dłużej zastanowili, już nigdy by nie jeździli" - pisał wtedy reporter gazety L'Auto. Wtedy najpewniej zawiódł sprzęt. Z podobnego powodu w tym miesiącu na Tour of Austria życie stracił Andre Trege. Norweg poniósł śmierć na miejscu w wyniku obrażeń, jakich doznał w trakcie upadku na zjeździe z przełęczy Hochtor. Przy prędkości w okolicach 80 km/h z obręczy koła miała spaść opona.

Adolphe Heliere

Pierwsza ofiara Wielkiej Pętli. Zmarł nie po wypadku na szosie, ale w... Morzu Śródziemnym. Miał 19 lat, był mechanikiem samochodowym, od jakiegoś czasu się ścigał, więc postanowił wystartować w Tour de France. Takie rzeczy zdarzały się w roku 1910. Wiadomo, że ukończył szósty etap z Grenoble do Nicei. I że zasłabł, kąpiąc się w morzu w dniu wolnym. Cała reszta to przypuszczenia. Ponoć nocował na plaży w tym kurorcie, żeby zaoszczędzić na hotelu. Miał umrzeć z powodu wyczerpania, użądlenia meduzy, zadławienia po posiłku. Jak było, tego się nie dowiemy...

Grzegorz Kaczmarzyk



Fot. facebook

Pomnik upamiętniający Fabio Casartellego



Fot. EPA/Guillaume Horcajuelo/PAP

Richard Carapaz okupił zwycięstwo ogromnym zmęczeniem.

Wielka ucieczka mistrza

Ekwadorczyk Richard Carapaz wygrał 17. etap Tour France. Liderem imprezy pozostał Słoweniec Tadej Pogacar.

Wśrodę kolarze znowu wjechali w Alpy, rozpoczynając tym samym ostatnią, kluczową fazę wyścigu. Na etapie z Saint-Paul-Trois-Chteaux do Super-Devoluy (177,8 km) czekały na nich trzy górskie premie, w tym ta ostatnia na mecie. Wszystkie znajdowały się na końcowych kilkudziesięciu kilometrach.

Zanim jednak zawodnicy tam dotarli, droga cały czas się wznosiła. Mimo tego rywalizacja przebiegała w zawrotnym tempie przy średniej w okolicach 50 km/h. Od początku sunął bowiem atak za atakiem, ale rekordowo długo ucieczka dnia nie mogła się uformować. Nastąpiło to dopiero po... dwóch trzecich dystansu, w bezpośredniej bliskości Alp! Na czele znalazło się w sumie ponad... pół setki kolarzy, ale każdej ekipie to w zasadzie pasowało i dopiero wtedy peleton w końcu odpuścił pogoń.

Stało się jasne, że zostaną rozegrane dwa wyścigi. Etap wygra najmocniejszy z ucieczki, zaś z tyłu między sobą powalczą ci z najwyższych miejsc w klasyfikacji generalnej. O ile oczywiście będą mieli na to ochotę.

Spośród uciekinierów na podjeździe pod Col du Noyer, przedostatnią, ale najtrudniejszą premię górską na trasie, zaatakował Richard Carapaz (EF Education-Easy Post). Niedaleko za nim jechali Simon Yates (Jayco AlUla) i Enric Mas (Movistar). Przed końcową, już nie tak trudną wspinaczką Ekwadorczyk miał ponad 20 sek przewagi nad Brytyjczykiem i ponad pół minuty nad Hiszpanem. Wciąż jeszcze aktualny mistrz olimpijski powiększył ją i do etapowych zwycięstw na dwóch innych Wielkich Wyścigach, czyli Giro d'Italia i Vuelta a Espana, dołożył to na Tour de France. - Właśnie po to tu przyjechałem. To coś wspaniałego - podkreślał rozpromieniony Carapaz.

- Na etapie z takimi niezbyt trudnymi podjazdami niewiele można zyskać, natomiast wiele można stracić - podkreślał były świetny kolarz Alberto Contador. Dwukrotny zwycięzca TdF sugerował w ten sposób, że czołowa trójka może pojechać na remis, oszczędzając siły na kolejne, o wiele trudniejsze alpejskie etapy.

Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zaatakował oczywiście lider, jadący niezwykle ofensywnie w tym wyścigu Tadej Pogacar (UAE Team Emirates). Kiedy Jonas Vingegaard (Visma) i Remco Evenepoel (Soudal Quick-Step) dogonili Słoweńca, odjechał z kolei Belg, który do mety dotarł co prawda ponad 7 min za zwycięzcą, ale za to z niewielką przewagą nad swoimi najgroźniejszymi rywalami. Najgorzej na tym wszystkim wyszedł Duńczyk, który nie tylko stracił 12 sekund do Evenepoela i dwie do Pogacara, ale wyglądał na najbardziej zmęczonego z całej trójki.

Na czołowych miejscach w klasyfikacji generalnej nie zaszły żadne zmiany. Pogacar wciąż ma znaczącą przewagę nad Vingegaardem (3.11) i Evenepoelem (5.09).

Michał Kwiatkowski, jedyny Polak w TdF, znowu był aktywny, ale tym razem nie udało mu się znaleźć w ucieczce dnia. W końcówce całkiem odpuścił i do mety dojechał w grupetto ze sprinterami niemal pół godziny po zwycięzcy.

Wyniki 17. etapu, Saint-Paul-Trois-Chteaux - Super-Devoluy (177,8 km): 1. Richard Carapaz (Ekwador/EF Education-EasyPost) 4:06.13, 2. Simon Yates (Wielka Brytania/Jayco AlUla) strata 37 s, 3. Enric Mas (Hiszpania/Movistar) 57, 4. Laurens De Plus (Belgia/Ineos Grenadiers), 5. Oscar Onley (Wielka Brytania (dsm-firmenich PostNL) obaj 1.44, 6. Guillaume Martin (Francja, Cofidis) 2.36, 7. Magnus Cort (Norwegia, Uno-X Mobility) 2.38, 8. Wout Poels (Holandia/Bahrain-Victorious), 9. Jordan Jegat (Francja, TotalEnergies), 10. Alex Aranburu (Hiszpania, Movistar) - wszyscy 2.39... 1**28. Michał Kwiatkowski (Ineos Grenadiers) 27.14.**

Klasyfikacja generalna: 1. Tadej Pogacar (Słowenia/UAE Team Emirates) 70:21.27, 2. Jonas Vingegaard (Dania/Visma) strata 3.11, 3. Remco Evenepoel (Belgia/Soudal Quick-Step) 5.09, 4. Joao Almeida (Portugalia/UAE Team Emirates) 12.57, 5. Mikel Landa (Hiszpania/Soudal Quick-Step) 13.24, 6. Carlos Rodriguez (Hiszpania/Ineos Grenadiers) 13.30, 7. Adam Yates (Wielka Brytania/UAE Team Emirates) 15.41, 8. Giulio Ciccone (Włochy/Lidl-Trek) 17.51, 9. Derek Gee (Kanada/Israel-Premier Tech) 18.15, 10. Santiago Buitrago (Kolumbia/Bahrain Victorious) 18.35 ...
48. Kwiatkowski 2:26.58.

(g)

Sport 23302abb6d

Dominacja pod tablicami

MISTRZOSTWA EUROPY U20 KOSZYKARZY

Polacy awansowali do grona ośmiu najlepszych ekip Starego Kontynentu. W 1/8 finału ograli Włochy, choć nie byli faworytami. Po porażkach z broniącą tytułu Francją 56:110 i Serbią 67:97 oraz zwycięstwie z trzecią w 2023 roku Grecją 75:68, zajęli w grupie A trzecią lokatę. Włosi z kolei byli drudzy w grupie B.

Po zakończeniu fazy grupowej sztab szkoleniowy biało-czerwonych postanowił dokonać korekt w wyjściowym składzie. W pierwszej piątce podczas EuroBasketu zadebiutowali wyróżniający się we wcześniejszych spotkaniach Conrad Luczynski i Anthony Wrzeszcz.

Nasz zespół walkę o najlepszą ósemkę rozpoczął energicznie. Po „trójce" Kuby Piśli i punktach Jakuba Szumerta i Luczynskiego objął prowadzenie 7:4. Kolejne minuty należały jednak do rywali, którzy wygrali nawet ośmioma „oczkami". Polacy nie dawali jednak za wygraną. Cały czas byli blisko. Ponownie wyjść na prowadzenie udało im się dopiero po przerwie. W pewnym momencie ich przewaga urosła do 13 punktów. Utrzymali ją do końca, choć gracze z Półwyspu Apenińskiego mocno naciskali.

Nasz zespół zdecydowanie wygrał walkę pod tablicami, notując dwukrotnie więcej zbiórek niż rywale. Brylował Krzysztofa Kempy, który wywalczył efektowne double-double, 18 punktów i 16 zbiórek.

W ćwierćfinale, który odbędzie się dzisiaj (godz. 18.00), Polacy zagrają ze Słowenią.

(mic)

WYNIKI 1/8 FINAŁU

■ **Włochy – Polska 63:74 (22:17, 11:14, 19:28, 11:15)**
POLSKA: Wilczek 18 (3x3), Piśla 5 (1x3), Wrzeszcz 9, Luczynski 6, Szumert 9 – Kempa 18, Ratowski, Nagel, Andrzejewski 7 (2x3), Busz, Stupnicki 2. Trener Arkadiusz MIŁOSZEWSKI.

Francja – Niemcy 103:78, Słowenia – Macedonia 82:71, Hiszpania – Czarnogóra 80:45, Serbia – Czechy 67:72, Izrael Grecja 65:68, mecze Izrael – Belgia i Litwa – Turcja zakończyły się po zamknięciu wydania.

Hamilton raz jeszcze?

W niedzielę na torze Hungaroring zostanie rozegrana 13. runda mistrzostw świata Formuły 1 - wyścig o Grand Prix Węgier.

Liderem cyklu po 12 startach jest obrońca tytułu Holender Max Verstappen z Red Bulla, ale liderem klasyfikacji zwycięzców wyścigu na Węgrzech jest siedmiokrotny mistrz świata Brytyjczyk Lewis Hamilton z Mercedesa, który był na tym torze najszybszy już osiem razy. Triumfował w latach 2007, 2009 i 2012 jako kierowca McLarena oraz w 2013, 2016 oraz 2018-2020 w barwach Mercedesa.

Dwa tygodnie temu w GP Wielkiej Brytanii Hamilton po raz pierwszy od dawna wrócił na najwyższy stopień podium. 39-letni kierowca odniósł bowiem swoje pierwsze zwycięstwo w F1 od... 945 dni. Poprzednio po raz 103. w karierze triumfował 5 grudnia 2021 roku w Arabii Saudyjskiej. Od tego czasu startując w 57 wyścigach F1 nigdy nie był najszybszy.

Teraz - jak uważają komentatorzy - jest na fali i będzie jednym z głównych kandydatów do zwycięstwa.

- Kocham Węgry - powiedział Hamilton po zwycięstwie na Silverstone. - Już nie mogę się doczekać startu na Hungaroringu, samochód jest coraz szybszy, liczę na dobry wynik – dodał.

Dla Hamiltona niedzielny wyścig będzie miał szczególne znaczenie, gdyż Brytyjczyk może po raz 200. w karierze stanąć na podium. Verstappen na razie jest daleko w tyle w tej statystyce, na podium stał dotychczas 107 razy.



KLASYFIKACJA MŚ (PO 12 Z 24 WYŚCIGÓW)

1. Max Verstappen (Holandia/Red Bull)	255 pkt,
2. Lando Norris (W. Brytania/McLaren)	171,
3. Charles Leclerc (Monako/Ferrari)	150,
4. Carlos Sainz Jr. (Hiszpania/Ferrari)	146,
5. Oscar Piastri (Australia/McLaren)	124,
6. Sergio Perez (Meksyk/Red Bull)	118,
7. George Russell (W. Brytania/Mercedes)	111,
8. Lewis Hamilton (W. Brytania/Mercedes)	110,
9. Fernando Alonso (Hiszpania/Aston Martin)	45,
10. Lance Stroll (Kanada/Aston Martin)	23.

Verstappen - który triumfował na tym torze w dwóch poprzednich edycjach - też liczy na zwycięstwo. - Rok temu miałem udany wyścig na Węgrzech, dobrze go wspominam. Odnieśliśmy wtedy rekordowe, 12. zwycięstwo z rzędu - powiedział Verstappen. Holender po 12 wyścigach sezonu jest liderem, ma aktualnie 84 pkt przewagi nad drugim Brytyjczykiem Lando Norrisem z McLarena.

Rok temu Verstappen wyprzedził Norrisa o 33,7 s i liczy także teraz na wygraną. - Mam nadzieję, że w tym roku uda nam się ponownie rozegrać wspaniały wyścig i osiągnąć kolejny dobry wynik zespołowy - deklaruje mistrz świata.

Grand Prix Węgier zadebiutowała w kalendarzu F1 w sezonie 1986 i do dziś ta runda - pierwsza w kraju zza żelaznej kurtyny - odbywa się corocznie. Hugaroring jest torem położonym najbliżej polskiej granicy, dlatego jest najczęściej odwiedzany przez fanów motosportu znad Wisły. Ma 4,381 km długości i na dystansie 70 okrążeń kierowcy pokonują 307 km. Rekord jednego okrążenia w warunkach wyścigowych należy do Hamiltona, który uzyskał czas 1.13,447.

Niedzielny wyścig rozpocznie się o godz. 15.00. Sobotnie kwalifikacje zaplanowano od 16.

Prognoza pogody na weekend nie przewiduje opadów deszczu, temperatura powietrza w sobotę i w niedzielę dojdzie do +34 st. C.

HURKACZ ZDROWIEJE

■ Po drobnym zabiegu na prawym kolanie, przeprowadzonym w poniedziałek, stan zdrowia Huberta Hurkacza znacząco się poprawia po kontuzji odniesionej w Wimbledonie. Postępy są bardzo obiecujące. Celem start na igrzyskach w Paryżu - poinformował zespół tenisisty.
Zawodnik codziennie poświęca dużo czasu na rehabilitację. W przypadku osiągnięcia zadawalającej formy Hurkacz, siódmy zawodnik światowego rankingu, zamierza za 10 dni wziąć udział w igrzyskach olimpijskich w Paryżu. „Dziękuję wszystkim za miłe wiadomości i wsparcie. Czuję się lepiej i jestem ostrożnie optymistycznie nastawiony do procesu rehabilitacji, który realizujemy z moim zespołem. Marzeniem każdego sportowca jest reprezentowanie swojego kraju na igrzyskach olimpijskich i chcę mieć pewność, że jestem w pełni sprawny i gotowy, zanim podejmę ostateczną decyzję o wejściu na kort. Celem jest nie tylko udział, ale zdobycie medalu dla Polski" - oświadczył w komunikacie Hurkacz.
Tenisista oprócz gry pojedynczej w IO Paryż 2024 został zgłoszony do debla wraz z Janem Zielińskim. Lista uczestników w mikście zostanie opublikowana 24 lipca. Jeżeli nie będzie przeciwskazań zdrowotnych Hurkacz wystąpi w nim z liderką rankingu WTA Igą Świątek. **(PAP)**

Do Francji po... niewinność

KAJAKARSTWO

Zawieszona za załamanie przepisów antydopingowych kanadyjkarka Dorota Borowska rozpoczęła walkę, lecz nie na torze regatowym, ale o oczyszczenie z zarzutów. W środę wyjechała do Strasburga ze swoim... psem, który na być dowodem na potwierdzenie jej wersji wydarzeń.

W poniedziałek Polski Komitet Olimpijski ogłosił listę sportowców, którzy będą rywalizować na igrzyskach w Paryżu. Zabrakło na niej liderki grupy kanadyjkarek Borowskiej. Krótko po tym PZKaj poinformował o wykryciu niedozwolonego środka w próbce pobranej w czerwcu od zawodniczki. Decyzją Międzynarodowej Federacji Kajakowej Borowska została natychmiast zawieszona.

International Testing Agency (ITA) podała, że w organizmie Borowskiej wykryto klostebol. To steryd anaboliczny androgenny, będący pochodną naturalnego hormonu testosteronu. Używany jest w celu zwiększenia wydolności, ale jego działanie określane jest jako stosunkowo słabe. Kanadyjkarka przyznała, że środek ten był jednym ze składników maści, którą wcierała w psa podczas pobytu na zgrupowaniu we włoskiej Sabaudii. Dlatego jej pupil będzie towarzyszył podczas badań w placówce w Strasburgu.

Borowska, aktualna mistrzyni Europy, w Paryżu miała wystąpić w jedynce na 200 m oraz z Sylwią Szczerbińską w dwójce na 500 m. **(PAP)**

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 18 LIPCA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

POLSAT
16.30 Pn: elim. LE, KF Llapi Podujevo - Wisła Kraków (na żywo)

TVP SPORT
15.25 Lekka atletyka: 1. dzień ME U-18 w Bańskiej Bystrzycy (na żywo), 22.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
10.00 Tenis: ćwierćfinały kobiet Narodowych MP w Kozerkach, 14.00 2. runda ATP w Hamburgu, 16.20 Pn: elim. LE, Llapi - Wisła Kraków, 18.30 Siatkówka: Memoriał Agaty Mróz-Olszewskiej, Polska - Francja (na żywo)

POLSAT SPORT 2
7.30 Golf: 1. dzień The Open Championship, 16.00, 18.00 Tenis: 2. runda ATP w Hamburgu, 16.00 Siatkówka: Memoriał Agaty Mróz-Olszewskiej, Dominikana - Serbia (na żywo)

POLSAT SPORT 3
16.00 Tenis: 2. runda ATP w Hamburgu, 18.30 Golf: 1. dzień The Open Championship (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2
12.00 Tenis: 2. runda ATP w Hamburgu (na żywo)

EUROSPORT 1
12.45 Kolarstwo: 18. etap Tour de France, Gap - Barcelonnette (na żywo)

EUROSPORT 2
8.00, 13.30 Snooker: ćwierćfinał Shanghai Masters, 23.00 Golf: 1. runda Barracuda Championship (na żywo)

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13
Szef redakcji/Redaktor naczelny Andrzej WASIK
Redaktor wydania Andrzej GRYGIERCZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Sport 23302abb6d

Potyczki ze stresem

Wydarzenia z kilku ostatnich miesięcy mocno mnie sfrustrowały, ale miejsce na podium mistrzostw Europy sprawiło, że z optymizmem patrzę w przyszłość – wyjawia szablistka z Sosnowca, Zuzanna Cieślar.

Nie tak miał wyglądać ten sezon... Wedle swoich i trenera założeń Zuzanna Cieślar właśnie czekałaby na ślubowanie olimpijskie. Życie jednak napisało inny scenariusz. Szablistka z Sosnowca szansę na występ w Paryżu straciła podczas turniejów Pucharu Świata, kiedy to natrafiała na różne przeciwności losu. Raz przeszkadzało światło na planszy; kiedy indziej sędziowie przychylniejszym okiem patrzyli na rywalkę; w jeszcze innym przypadku przeciwniczka złamała jej palec, a z taką dolegliwością trudno skutecznie walczyć. Ostatecznie nie zakwalifikowała się do turnieju ostatniej szansy, tzw. „dobijaka", który odbył się pod koniec kwietnia w Differdange (Luksemburg). Wystartowała w nim Małgorzata Kozaczuk, ale kwalifikacji olimpijskiej nie zdobyła. Dopiero czerwcowe mistrzostwa Europy w Bazylei zrekompensowały pani Zuzannie te niepowodzenia - po raz drugi w karierze sięgnęła po brązowy medal.

- A mogło być jeszcze lepiej - mówią jednym głosem szablistka oraz jej trener Tomasz Dominik. Po chwili panna Zuzia dodaje: - Nie wiem, w jakiej formie psychicznej przystępowałabym do nowego sezonu, bo porażki raczej nastrajały mnie do rezygnacji. Ale po podium w Bazylei po raz kolejny przekonałam się, że warto pokonywać trudności, przełamywać swoje bariery niemożności, walczyć o swoje...



Zuzanna i jej trener trener Tomasz Dominik po występie w Bazylei mają prawo do radości i uśmiechów.

Fot. Z Archiwum szablistek

Pod górkę...

Kwalifikację olimpijską w szermierce zdobywa się przez wysokie miejsce drużyny (w Paryżu wystartują florecistki, szpadzistki i floreciści) w światowym rankingu, wysoką lokatę indywidualną w tejże klasyfikacji lub w turnieju ostatniej szansy, wspomnianym „dobijaku". Polskie szablistki zajmują 12. miejsce w tej klasyfikacji, więc o występie zespołu w Paryżu nie mogło być mowy.

- Nie ukrywam, że naszym celem był start w igrzyskach, ale kwalifikacje były piekielnie trudne - wyjaśnia trener Dominik. - Dla Zuzy zaczęły się dość niefortunnie, więc potem - z zawodów na zawody - presja wzrastała. Zrobiło się nerwowo i w rezultacie szansa olimpijska przepadła. Ale też nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pocieszam, że jesteśmy bogatsi o kolejne doświadczenia i naszą kolejną stacją docelową będzie za cztery lata Los Angeles.

- Miałam wszystko w swoich rękach, ale przegrałam ten wyścig do Paryża - dodaje sympatyczna szablistka. - Oczywiście, mogę się tłumaczyć różnymi przeciwnościami losu, ale to ja w kluczowych momentach przegrywałam; głównie ze stresem.



Triumfalny gest - to znak, że Zuzanna Cieślar znalazła sie na podium.

Fot. Z archiwum szablistki

Sfera mentalna

Zuzanna w kraju od dwóch lat nie przegrała walki, zdobyła cztery złote medale z rzędu w mistrzostwach kraju seniorek, zaś w sumie ma 13 tytułów, licząc z pozostałymi kategoriami wiekowymi.

- Teraz te sukcesy trzeba przenieść na grunt międzynarodowy, ale to wcale nie jest łatwe - wyjaśnia szkoleniowiec. - Moja podopieczna, jak już wcześniej wspominałem, podczas zawodów Pucharu Świata była spięta, nerwowa i... przegrywała z zawodniczkami niżej notowanymi, jak też z... koleżankami z reprezentacji. Natomiast podczas zgrupowań wygrywa wszystkie ze swoimi rywalkami. Oczywiście, pracujemy nad sferą mentalną, Zuzia powoli nabiera doświadczenia i zagraniczne rywalki muszą się z nią liczyć. Dowodem na to dwa brązowe medale ME.

- Na pewno jest lepiej, ale wciąż trzeba się doskonalić - uśmiecha się nasza bohaterka. - Nie pracuję na co dzień z psychologiem, choć nasza grupa szablistek miała takie spotkanie. Może trzeba będzie umawiać się indywidualnie? W Bazylei też miałam chwilę słabości i nawet po pierwszej walce się popłakałam. Jednak jestem dumna z siebie, bo pokonałam własne emocje i słabości, no i wygrywałam z silnymi rywalkami.

Szczęśliwe trafienia

Mistrzostwa Europy w Antalyi (2022) i w Bazylei dla szablistki z Sosnowca ułożyły się w podobny sposób, ale z drobnymi różnicami. W Turcji w pierwszej walce pucharowej walczyła z Francuzką Sarah Noutchy, z którą w Szwajcarii przyszło walczyć o półfinał. W Bazylei w 1/16 finału zmierzyła się z Niemką Larissą Eifler, a w Antayli stawką pojedynku z tą rywalką było wejście do 1/2 finału.

- W Bazylei wygrywałam dwoma bądź jednym trafieniem, bo na planszy, jak w życiu, trzeba mieć trochę szczęścia - uśmiecha się Zuzanna. - Ze wspomnianą Niemką i Belgijką Jolien Corteyen wygrałam po 15:13, zaś w ćwierćfinale z Francuzką Notchy jednym trafieniem. Byłam blisko finału, bo z Hiszpanką Celią Perez Cuenca prowadziłam 14:13, ale ostatecznie to ona zdobyła dwa decydujące punkty. A potem stanęła na najwyższym podium. Jak widać, ten sezon przyniósł wiele negatywnych emocji, ale ostatecznie zakończył się medalem. Jest więc iskra nadziei, że będzie tylko lepiej.

- Finał był w zasięgu Zuzy, ale Hiszpanka była nieco sprytniejsza - dodaje trener, pracujący z szablistką już od 16 lat. - Niemniej, sięgając po brąz, pokazała, że potrafi walczyć dojrzale i skutecznie. Najważniejsze, że na koniec sezonu pokazała, jakie drzemią w niej możliwości.

Rodzinny team

Tata Zuzanny, Tomasz, grał w piłkę z Krzysztofem Wątorem, znanym trenerem szabli, więc zdecydował, że jego najstarsza córka Karolina spróbuje swoich sił w tej dyscyplinie sportu. Właśnie jej śladem podążyła o cztery lata młodsza Zuzanna, a jest jeszcze trzecia w klanie Cieślarów - Julia, która wkracza w dorosłą szermierkę.

- Rodzice (mama Małgorzata - przyp. red.) mocno się zaangażowali i zawsze nas wspierają - podkreśla Zuzanna. - Tworzymy rodzinny team, acz nigdy wszystkie razem nie występowałyśmy. Miałam tylko okazję walczyć wcześniej w drużynie z Karoliną, a obecnie z Julką. Zaczęłam treningi jako ośmiolatka i nie brakowało chwil słabości i zwątpienia. W tych trudnych momentach rodzice dodawali mi otuchy i zawsze znajdowali argumenty, bym nie rzuciła szabli w kąt. Tak wytrwałam 16 lat, a po występach w Bazylei znów jestem pozytywnie nastawiona do kolejnych wyzwań. Teraz wakacje (urlop w Indonezji - przyp. red.), a po nich znów do pracy, by mieć szanse na laury w zawodach Pucharu Świata, mistrzostwach Europy i świata.

Zuzanna zadbała również o edukację. Jest na ostatnim, piatym roku fizjoterapii w katowickiej AWF i niebawem rozpocznie zawodowe życie.

- Szermierka nie jest sportem komercyjnym, stąd też trzeba mieć konkretny w fach w rękach - śmieje Zuzanna. - Ten zawód pozwala na łączenie pracy ze sportem, bo nie muszę być związana etatem. Mam nadzieję, że po zdobyciu medalu moje stypendium nieco się zwiększy, tym bardziej że w ostatnim czasie z własnej kieszeni dokładałam na trenera przygotowania fizycznego czy też... fizjoterapeutę.

Stacja Los Angeles

Jak dotrzeć za cztery lata do najważniejszej stacji, czyli igrzysk w Los Angeles? Po Paryżu zapewne dojdzie do trenerskich przetasowań w poszczególnych broniach. Obecnie za kadrę szablistek i szablistów odpowiada jeden trener, Bartłomiej Olejnik. Z kolei Tomasz Dominik odpowiada za kadrę juniorek, ale też trzyma pieczę nad swoimi, klubowymi podopiecznymi - seniorkami i seniorami .

- Takie rozwiązanie z jednym trenerem kadry dla kobiet i mężczyzn to zupełnie nietrafiony pomysł - mówi szablistka. - Owszem, zgrupowania mamy wspólne, ale zawody pucharowe są w zupełnie innych miejscach. Tutaj więc następuje konflikt, ale może znajdzie inne rozwiązanie?

- W kadrze szablistek i szablistów mamy grono młodych, zdolnych zawodniczek i zawodników, którzy przy dobrej opiece mogą za rok, dwa wystrzelić w górę i odnosić sukcesy - wyjaśnia szkoleniowiec ZKS-u Sosnowiec. - Trzeba skupić się na celu głównym, czyli igrzyskach, i stworzyć plan działania na poszczególne sezony. Innymi słowy, przygotować zawodniczki i zawodników do najważniejszych imprez, odpuszczając te o niższej randze. Tak właśnie próbuję robić ze swoimi zawodnikami, ale nie zawsze interes trenera klubowego pokrywa się interesem ogółu. Śmiem twierdzić, że jesteśmy w stanie tak przygotować drużyny - żeńską i męską - by zakwalifikowały się do igrzysk. To nic, że oba zespoły zajmują odległe lokaty w światowym rankingu, jest bowiem wystarczająco sporo czasu, by odrabiać straty i awansować wyżej. Trzeba tylko odważniej postawić na młodzież i jak najwięcej walczyć w zawodach pucharowych. To będzie motorem postępu.

- Zaczynałam dość szybko, wieku 18 lat, wyjeżdżać na seniorskie zawody Pucharu Świata, ale moje młodsze koleżanki są w znacznie gorszej sytuacji, bo debiutują o dwa lata później - dodaje Zuzanna. - Teraz po sześciu sezonach mam pewien bagaż doświadczenia i w międzynarodowym towarzystwie nie jestem anonimowa. A to niesłychanie jest ważne nie tylko dla mnie, ale również całego środowiska.

Byłoby dobrze, żeby związkowi działacze usiedli z trenerami i zastanowili się nad rozwiązaniami, które sprawiłyby, że polska szabla znalazłaby swoje miejsce na igrzyskach w 2028 roku. Trzeba po prostu pomyśleć o nowym systemie i uwolnić potencjał, jaki drzemie w szablistkach i szablistach. Tak by droga do Los Angeles wcale nie była kręta i najeżona wieloma problemami.

Włodzimierz Sowiński

Sport 23302abb6d



The Open czas zacząć!

Fot. Kasia Nieciak

Robert MacIntyre właśnie zaliczył triumf w Scottish Open. Jest też jednym z faworytów The Open.

Dziś rozpoczyna się 152. edycja najstarszego i najzacniejszego turnieju golfowego globu. W 158-osobowej stawce nie zabraknie Adriana Meronka. Z kolei w Challenge Tour w Austrii powalczy duet Polaków - Alejandro Pedryc i Michał Bargenda.

Po raz pierwszy od 2016 roku Open Championship powraca do szkockiego Royal Troon. Ostatnio w spektakularnych okolicznościach wygrywał tam Henrik Stenson, pokonując trzema uderzeniami Phila Mickelsona i rozgrywając w niedzielę fenomenalną rundę 63. Od tego czasu Henrik zwyciężył jeszcze tylko dwa razy, w turnieju Tigera Woodsa - Hero World Challenge 2019 i w LIV Golf Invitational Bedminster w 2022 roku. Zdążył zapisać się też na kartach historii jako niedoszły kapitan drużyny europejskiej na Ryder Cup w Rzymie, pozbawiony tej funkcji po zaskakującej, zwłaszcza w zaistniałych okolicznościach, decyzji o przystąpieniu do saudyjskiej ligi LIV Golf. W tym roku Szwed powraca na arenę swojego jedynego zwycięstwa wielkoszlemowego.

Royal Troon

The Open rozegrany został po raz pierwszy w Royal Troon w 1923 roku, a od czwartku będzie pełnił obowiązki gospodarza po raz dziesiąty. Na liście zwycięzców figuruje aż sześciu Amerykanów, poza Stensonem triumfowali oni w każdej kolejnej edycji, począwszy od 1962 roku, kiedy wygrywał tam sam „The King" - Arnold Palmer! Później zwyciężali tam kolejno: 1973 - Tom Weiskopf, 1982 - Tom Watson, 1989 - Mark Calcavecchia, 1997 - Justin Leonard i w 2004 roku - Todd Hamilton. Chociaż pierwsza edycja The Open odbyła się w 1860 roku, trzeba było czekać 63 lata zanim wydarzenie to po raz pierwszy odwiedziło Royal Troon. Wtedy, ponad sto lat temu, tytuł zdobył Anglik Arthur Havers, pokonując jednym strzałem wówczas obrońcę tytułu, Amerykanina Waltera Hagana. Claret Jug powrócił na pole w South Ayrshire dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy Południowoafrykańczyk Bobby Locke zdobył tytuł drugi rok z rzędu. W 1860 roku listę zwycięzców otworzył Szkot Willie Park Senior, pokonując dwoma uderzeniami w Prestwick również Szkota - Old Toma Morrisa. Pierwszym nie Szkotem, który wygrywał The Open był angielski amator – John Ball, dokonując tej sztuki w 1890 roku, w Prestwick. Z kolei ostatnim Szkotem wznoszącym Claret Jug był Paul Lawrie, w 1999 roku wygrywający w Carnoustie, w dogrywce z Amerykaninem Justinem Leonardem i Francuzem Jeanem van de Veldem, który wpadł do dogrywki, notując niesłychane siedem uderzeń na ostatnim dołku.

Brian

Obrońcą tytułu będzie Brian Harman, trzeci w historii leworęczny gracz wygrywający The Open, który zdominował ubiegłoroczne mistrzostwa na polu Royal Liverpool, nie pozostawiając rywalom cienia złudzeń, co do możliwości dogonienia go. Prowadził od drugiej rundy do mety, wygrywając z przepastną przewagą sześciu uderzeń nad najbliższymi konkurentami: Jasonem Dayem, Tomem Kimem, Jonem „Rahmbo" i Seppem Straką. Świeżo po 21.miejscu w ubiegłotygodniowym Genesis Scottish Open, światowy numer 13 odwiedza Royal Troon po raz pierwszy. Rok temu wygrywał po zajęciu szóstego miejsca w Genesis Scottish Open. Na początku tego roku na jednej z konferencji prasowych przyznał, że „nienawidził" golfa na polach typu links, kiedy po raz pierwszy grał jako amator podczas Palmer Cup w 2006 roku. Od tamtej pory hartował się na arenach The Open. W 2014 roku był 26, później cztery razy nie przeszedł cuta, a w trzech ostatnich występach był kolejno dziewiętnasty, szósty i pierwszy. Tym sposobem początkowa nienawiść przekształciła się w nieskrywaną miłość. Jego dwa ostatnie występy w The Open miały miejsce po tygodniu spędzonym w The Renaissance Club podczas Scottish Open, będącym tradycyjnym sprawdzianem przed The Open. W tym roku nie przeszedł cuta w Masters, był 26.w PGA Championship i 21.w US Open. Czy przebudzi się na ostatni turniej wielkoszlemowy roku?



Fot. Team Poland

Polska ekipa - od lewej Nicole Polivchak, Michał Bargenda, Alejandro Pedryc, Wojciech Chyliński – sposobi się do występu w Austrii.

Zróżnicowana stawka

Wśród faworytów nie można nie wymienić Szkota Roberta MacIntyre, który w niedzielę odniósł dramatyczne zwycięstwo przed własnymi kibicami, w Scottish Open, pokonując w niesłychanych okolicznościach jednym uderzeniem Australijczyka Adama Scotta. Szwed Ludvig Åberg będzie z kolei debiutantem w The Open, po tym jak prowadził po 54.dołkach w The Renaissance Club. Rory McIlroy po rozdzierającej przegranej w US Open z Brysonem DeChambeau wygląda na człowieka, którego tamte wydarzenia tylko zmotywowały do kolejnych prób wywalczenia piątego Majora i drugiego tytułu The Open, po dziesięciu latach posuchy. W Szkocji zajął piąte miejsce, a był to jego pierwszy start od czasu czerwcowego US Open. Do kolegów z rzymskiej drużyny Ryder Cup dołączy Justin Rose, który start w swoim 21. The Open zapewnił sobie dzięki finałowym kwalifikacjom w Burnham & Berrow Golf Club. Wicemistrz Genesis Scottish Open Adam Scott dokona rzeczy niezwykłej, startując po raz 93. z rzędu w kolejnym turnieju wielkoszlemowym. Nie zabraknie również Tiger Woodsa, który ostatni raz grał w The Open w Royal Troon w 2004 roku. Powalczą oczywiście wszyscy tegoroczni mistrzowie wielkoszlemowi: Scottie Scheffler, Xander Schauffele, Bryson DeChambeau i cała śmietanka światowego golfa. Adrian Meronk na dwie pierwsze rundy wyruszy z Amerykanami: Taylorem Moorem i Dennym McCarthym, od 14.15 polskiego czasu w czwartek i 9.03 w piątek. Turniej transmitowany będzie na antenach Polsatu Sport.

„Bardżi" i Alejandro na Challenge Tour

Również w czwartek rusza turniej Challenge Tour - Euram Bank Open, rozgrywany na fantastycznym austriackim polu, w Golf Club Adamstal, oferującym zapierające dech alpejskie widoki. Swoich sił sprawdzi tam dwóch polskich zawodowców, dopiero rozpoczynających kariery zawodowe: Alejandro Pedryc i Michał Bargenda. Koledzy z lat dziecińśtwa, wspólnie zdobywający aż sześć tytułów Klubowych Mistrzów Polski z drużyną Sobieni Królewskich, po studiach w USA postanowili w tym roku przejść na zawodowstwo. Caddiem Michała będzie Nicole Polivchak, zawodniczka ligi LET Access, która podczas przerwy w rozgrywkach postanowiła wesprzeć swojego chłopaka. Alejandro nawigowany będzie przez swojego stałego caddiego - Wojtka Chylińskiego.

Leaderboard The Open: https://www.theopen.com/leaderboard
Leaderboard Euram Bank Open: https://www.europeantour.com/challenge-tour/euram-bank-open-2024/leaderboard

Kasia Nieciak

Sport 23302abb6d